

FILIPINA PŁASKOWICKA.

Filipina Płaskowicka była kobietą, w której nietylko najbliżsi koledzy, nietylko chłopi i robotnicy, ale nikt z otaczających nie mógł dopatrzeć żadnej poważniejszej wady, a dodatnich przymiotów miała ona tyle, że każdy znajdował w niej to, co uważał za najniepospolitsze, najbardziej w człowieku pożądane. Nikt też nie ważył się krzywem okiem spojrzeć na Filipinę, każdy zniewolony był szanować ją i cenić niezmiernie wysoko. Gdy w sierpniu 1878 roku aresztowano Płaskowicką w Warszawie i osadzono w X pawilonie, gmina janisławicka wysłała do generał-gubernatora błagalną deputacyę, aby kazał uwolnić ukochaną jej nauczycielkę, „bo to święta panienka". Ksiądz błogosławił na drogę deputacyi. Administracya gminna, najbliższa władza szkolna, jako też probostwo dali o Filipinie jak najpochlebniejsze świadectwa. Plewe powiedział jej raz przy przesłuchaniu: „nie znaleźliśmy ani jednego człowieka, który by panią zganił. Jesteś więc pani dla nas bardzo niebezpieczną"... Nie mylił się ten wyżeł carski, sądząc, że dla caratu, dla kapitalistycznego ustroju była Filipina najniebezpieczniejszym wrogiem ze wszystkich jednocześnie z nią aresztowanych.

O tej to Filipinie Płaskowickiej, która z najlepszym skutkiem rozpoczęła propagandę socyalistyczną wśród chłopów polskich, chcemy dziś czytelnikom „Światła" opowiedzieć.

Rodzice Filipiny, ubodzy, uczciwi oficyaliści wiejscy, całe życie pilnowali pańskiego grosza, a zato niezawsze mieli czem nakarmić, nie-

zawsze mieli w co odziać liczne swe potomstwo. Zmuszeni byli nieraz udawać się z prośbą do litościwych, majętniejszych krewniaków, aby choć na czas jakiś przyjęli pod swój dach małe „biedactwo“. Wędrowała więc Filipina po różnych ukraińskich dworach i dzieckiem jeszcze nie z jednego już pieca chleb jadała. Chleb ten bywał czasami gorzki, ale zato z każdą zmianą otoczenia mała, niezmiernie wrażliwa i spostrzegawcza Lipcia poznawała coraz to nowych ludzi i coraz to inne warunki. Lubiono ją w każdym „kredensie“, w każdej dworskiej piekarni, a fornale, karbowi i gumienni chętnie rozmawiali z małą, nad wiek rozumną, dziewczynką; we wsiach zaś starzy bandurzyści chętnie śpiewali jej pieśni. W pewnej piekarni dworskiej dowiedziała się raz dziewczka, że poczciwa i bardzo zręczna pokojówka Paraszka otrzymała bolesną chłostę za zbicie filiżanki. To samo spotkało Hankę za niedokładne wyrurkowanie spodnicy. Kiedyś znowu Hryćko dwa dni przesiedział w ciemnej piwnicy o chlebie i wodzie za to, że, powożąc czwórką, raz tylko zamiast trzech razy wypalił z bicza przed gankiem, „bo mu się bicz zaplątał“. W piekarniach przypatrywała się Filipina, czem panowie karmią „swych ludzi“.

Musimy tu nadmienić, że Filipina pamiętała czasy poddaństwa, jako też, że dwory, w których ona spędzała dzieciństwo, należały do „dobrych panów“. A przecie, gdy zestawiała w małej swej główce wrażenia zdobyte, nabierała przeświadczenia, że jej własne życie, życie tułającego się „biedactwa“, „syrotyny“, jak ją nazywali „ludzie“, stokroć było lżejszem i lepszem od życia tych litościwych „ludzi“. „Ludzie“ ci jeszcze niedawno spodziewali się lepszej doli. Nieraz słyszała ona, jak w ciężkiej doli pocieszali się wzajemnie: „oś bude wola“. We dworach zaś obawiano się: „co to nam jutro przyniesie“. Potem coś się zmieniło, a starsi chłopi mawiali nieraz: „wola hirsze niewoli“. Nie pojmowała jednak wtedy mała Lipcia, co się dokoła niej działo. Niezatarte wspomnienia natomiast pozostawił w umyśle Filipiny jeden ze starych bandurzystów, artysta, którego nieraz do dworów wzywano, aby grał i śpiewał dla gości. Przed panami jednak nigdy on nie śpiewał tak, jak w swoim małym sadku pod rozłożystą czereśnią. Tam akordy bandury i głos starca nabrzmiewały takim urokiem natchnienia, uczucia i potęgi, że mała Lipcia, słuchając tych pieśni, marzyła, tęskniła, czasami rzewnie płakała, lub czuła w sobie nieznaną jakąś siłę i hart duszy.

Powiedzieliśmy już, że w roli tułającego się „biedactwa“ wędrowała Filipina po dworach ukraińskich. W tym czasie w wielu z tych dworów konspirowano i przygotowywano się do powstania. Nieraz przy obiedzie lub kolacyi zapalony jakiś demokrata gromił szlachtę za krzywdy wyrządzane ludowi, opowiadał o demonstracyach na Litwie i w Koronie. Nieraz ktoś wzywał do ofiar w imieniu powstającej ojczyzny. Nieraz śpiewano pieśni patryotyczne, śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła“, a młodzież ćwiczyła się w strzelaniu i szermierce, aby „zaprawić rękę na moskala“. Filipina była wtedy dzieckiem, nie mogła zrozumieć wszystkiego, co ją otaczało, czuła jednak, że dokoła jej dzieje się coś ważnego. Czuła, że najlepsi zamierzają wystąpić do

walki z pieśnią na ustach: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Słyszała potem, że nastąpiła walka, że chłopi pomagali moskalom, że mordowali nawet powstańców. Wszystkie te wiadomości, myśli i uczucia zlewały się w małej jej główce w następny wniosek: „na świecie dzieje się bardzo wiele niesprawiedliwości, bardzo wiele złego, trzeba więc starać się, aby temu zaradzić“. Ten głos wewnętrzny, który zaczął przemawiać do dziewczynki już w bardzo wczesnem dzieciństwie, zmuszał ją do ustawicznej pracy nad swym umysłem i charakterem. — Chcę — powiadała sobie — złemu zaradzić, muszę być dobrą i rozumną...

Jak się Filipina nauczyła czytać? nikt tego nie wiedział. Wszyscy jednak podziwiali zdolności i pilność dziecka w każdej robocie. Rodzice niezmiernie pragnęli uczyć Filipinę. Niestety! mogli się zdobyć na dopomożenie jej do ukończenia pięciu tylko klas gimnazyalnych. Prawda, że kwalifikacya ta zupełnie wystarczała do otrzymania posady nauczycielki domowej na Ukrainie. Prawda i to, że Filipina nie chciała być ciężarem rodzicom i że rwała się do samodzielnego zarobkowania, a przecież bolała nad tem, że musi uczyć innych, tak mało umiejąc. Umiała ona jednak niezmiernie więcej od swoich koleżanek. Miała też Płaskowicka niezrównany talent pedogogiczny, jako też nienasycone pragnienie uczenia się i nauczania. Pogłębiała więc własną wiedzę studyami nad matematyką i naukami przyrodniczemi, z największem jednak zamiłowaniem uczyła się historyi, nauk społecznych i pedagogiki. Studya jej nie mogły być ani systematyczne, ani wyczerpujące, uzbrajały ją jednak w tę wiedzę, co rozszerza pogląd i oświetla człowiekowi drogę, po której on kroczy. Wiedzą swą dzieliła się Filipina nietylko z tym drobiazgiem, który miała pod swem okiem, jako płatna prywatna nauczycielka. Zawsze umiała ona zachęcić do nauki i potrafiła nauczać całą gromadkę chłopskich dzieci, co niezawsze podobało się jej „chlebodawcom“. Trudności, jakie jej czynili „chlebodawcy“ w nauczaniu chłopskich dzieci, najbardziej przyczyniły się do porzucenia prywatnej służby i do starania się o posadę rządowej nauczycielki. Zanim przejdę jednak do opowieści o dalszych losach Płaskowickiej, muszę nieco nadmienić o tej atmosferze, która się w owym czasie wytworzyła w Rosyii, atmosfera ta bowiem ogromny wpływ wywierała i na Filipinę i na tę część polskiej młodzieży, z którą Płaskowicka najbardziej się zbliżyła, a z którą następnie wspólnie pracowała.

Przegrana wojna krymska była dla Rosyi prawdziwem dobrodziejstwem, wykazała bowiem zupełną zbutwiałość organizacyi państwowej. Aleksander II, widząc kompletne bankructwo dawnych porządków, rozpoczął swe rządy od kokietowania liberałów. Powstał cały szereg komitetów i komisyi, w których zaczęto układać projekty przyszłych reform. Nie długo jednak trwały gody liberalizmu. Projekty reform postępowych zostały do niepoznania spaczone przez reakcyjną większość owych komitetów i komisyi. Mniejszość już w sześćdziesiątym pierwszym roku czuła się zniechęconą, złamaną. Najenergiczniejsi z reformatorów poszli na Sybir; mniej „winnych“ bez sądu powysyłała administracya do północnych gubernii, a rząd wprowadzał w życie reformę włościańską, ćwicząc rózgami, knutem i nacierając bagnetami. Wło-

ścianie bowiem, dowiedziawszy się, jak ogromne ciężary nakłada na nich rządowe uwolnienie od pańszczyzny, jak mało wyznacza im gruntu, nie chcieli dobrowolnie zgadzać się na podpisywanie dokumentów. Dużo więc wiosek zrównano z ziemią; mnóstwo chłopów poszło na Sybir; potoki krwi chłopskiej przelały się, zanim łaska carska została wprowadzona w życie. Zawiedzione nadzieje lepszej części rosyjskich warstw wpływowych złamały szczerych reformatorów, a siły ich wyczerpała walka z ciemnotą i złą wolą wstecznej większości. Szlachta za liche grunta, nadane chłopom, została hojnie opłaconą i rzuciła się w wir spekulacyi i szacherek giełdowych. Samorodni lichwiarze wiejscy, pochodzący z chłopów, uzyskawszy wolność osobistą, rozszerzali swe ni kczemne praktyki. Powstawały milionowe fortuny, to znowu niesłychane krachy giełdowe. Złoty cielec zapanował wszechwładnie. Lecz ruch umysłowy poruszał do życia coraz to nowe zastępy. Wyzwolone umysły tak zwanych nihilistów brzydziły się otaczającą ich plugawą komedyą kapitalizmu. Najgorętsze zaś głowy, szukające łatwego rozwiązania wszelkich kwestyi, doszły do wniosku, że za wszystko winien odpokutować car.

Takie otoczenie, taką atmosferę znajdowała polska młodzież, roz siana po zakładach naukowych caratu, wśród lepszej mniejszości kolegów swych rosyan. Ta polska młodzież dzieliła się na znaczną większość „dyplomowiczów", którzy sobkowskie swoje instynkty usiłowali idealizować teoryą „pracy organicznej", i na mniejszość „romantyków". O panach organicznikach nie potrzebujemy mówić w tem opowiadaniu. Filipina Płaskowicka nic bowiem z nimi wspólnego nie miała. O romantykach zaś musimy wiedzieć, że nietylko uwielbiali oni poetów polskich i studyowali naszą historyę porozbiorową. Wielu z nich chowało, jak relikwie, chustki umaczane niegdyś we krwi ofiar z ostatniego powstania, a oddawane im ze słowami: „jeśli o tej krwi zapomnisz — ja o tobie zapomnę". Relikwie te zmuszały romantyków stronić czas jakiś od kolegów moskali. Polska młodzież jednak odczuwała na sobie te same wpływy, co młodzież rosyjska, a prócz tego wcześniej jeszcze uczyła się od Mickiewicza sięgać swemi skrzydły „od wschodu do zachodu", uczyła się cierpieć i kochać „za miliony". Uczyła się od Słowackiego pragnienia nie „złotego pasa i czerwonego kontusza", lecz aby w niej była ta „piękna dusza", co się brzydzi „zjadaczami chleba". Gdy się więc polska młodzież zastanawiała nad naszą historyą porozbiorową, to przychodziła do przekonania, że powstania nasze upadały, bo lud pozostawał biernym, a czasami, obałamucony przez rządy zaborcze, jak w 46 r. w Galicyi i w 63 r. na Ukrainie, występował wrogo przeciw powstańcom. Przypatrując się społeczeństwu własnemu, widziała młodzież polska, że co było w niem lepszego, szlachetniejszego zginęło w powstaniu, poszło na Sybir lub na emigracyę. Pozostali w kraju karyerowicze, tchórze, lub ludzie bierni wymyślili sobie na pociechę teoryę „pracy organicznej" i starali się gasić wszelkie iskierki szlachetnego zapału. Tak zwane „wyższe warstwy" społeczeństwa polskiego sprawiały wrażenie takiego próchna, takiej zgnilizny, że zapalona młodzież demokratyczna skłonna była wi-

dzieć w nich prędzej wrogów, niż sprzymierzeńców sprawy polskiego ludu. W takich to warunkach polscy patryoci — romantycy dowiadują się, że projekt założenia „międzynarodówki" powstał na zgromadzeniu ludowem, zwołanem w Londynie dla wyrażenia hołdu powstańcom 1863 r.; dowiadują się, że bohaterowie ostatniego powstania: Dąbrowski, Wróblewski przywodzili Komunie paryskiej; olśnieni wreszcie wszechpotężną pięknością idei socyalizmu, który ma znieść wszelki wyzysk, skruszyć wszelkie kajdany i zapewnić wszystkim dobrobyt, oświatę i wszechstronną swobodę, powtarzają jeden drugiemu: „prawdziwy a szczery polski patryota musi zostać socyalistą". Jedni z nich, wierząc w rychłe urzeczywistnienie socyalistycznych ideałów w Rosyi, a przedewszystkiem pragnąc natychmiastowego czynu, zlali się całkowicie z ruchem rosyjskim i w nim poginęli. Inni zaś zaczęli tworzyć samodzielne kółka socyalistyczne — polskie. W początku ósmego lat dziesiątka przeszłego wieku kółka takie nietylko istnieją w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, lecz już się porozumiewają ze sobą przez delegatów; już wysyłają delegatów zagranicę dla porozumienia się z Limanowskim, Wróblewskim, Mierosławskim, jako też dla sprowadzenia zakazanych książek polskich. Jeden z takich delegatów, Jan Hłasko, w 1876 roku odnajduje Ściegiennego w Lublinie i rozsyła do wszystkich kółek pozdrowienie tego bohatera spisku chłopskiego, a pozdrowienie to niezmiernie podnieca ducha. Członkowie kółek polskich rozjeżdzają się na wakacye, na święta do domów na Podole, na Ukrainę, na Litwę, do Królestwa, a wszędzie propagują, wszędzie zakładają kółka młodzieży. W petersburskich, kijowskich i warszawskich kółkach zaczynają rozprawiać o wytworzeniu polskiej agitacyjnej literatury socyalistycznej, a we wszystkich kółkach poruszają konieczność zjednoczenia polskich socyalistów w kraju.

Z tego, com już powiedział o Płaskowickiej i o warunkach, wśród których ona żyła, łatwo zrobić wniosek, że Filipina musiała zostać socyalistką. To też już w 1876 roku widzimy ją w Warszawie. Po świetnem złożeniu egzaminu nauczycielskiego otrzymuje ona posadę w Janisławicach powiatu skierniewickiego gubernii warszawskiej, którą obejmuje z początkiem szkolnego roku w sierpniu. Nie dziwi ją ani niechęć gminy, ani opłakany wygląd rudery, którą jej wskazują, jako budynek szkolny. Najbardziej dotyka ją ta okoliczność, że z dużej wsi zapisuje się na naukę zaledwie trzydziestu dzieciaków. Rozumie jednak i to zjawisko: wobec obowiązkowego nauczania po rosyjsku tylko wyjątkowy nauczyciel może sobie dać radę z polskiemi dziećmi, jeśli je chce czegoś nauczyć. Przeciętni nauczyciele w Królestwie wcale nie dbali o nauczanie. Trudnili się zazwyczaj pokątnem doradztwem lub lichwą, czasem dzierżawili grunty. Na przyjazd rewizora nauczano dzieci: że „najmiłościwszym" monarchą ich jest Aleksander II Romanow „oswoboditel", że „dobrodziejstwa", jakie na chłopów spłynęły, jemu tylko mają zawdzięczać. Uczono też dzieci, kto jest generał-gubernatorem, kto naczelnikiem powiatu i kto jest szkolnym rewizorem. Jeśli pozatem uczniowie umieli zaśpiewać: „boże caria chrani", to już nauczyciel mógł być pewnym nagrody. Cóż więc dziwnego, że

gmina uważała podobną szkołę za ciężar i niechętnie spotykała nową nauczycielkę. „Nietrza by nam żadnych nauczycieli“, powiadali ojcowie, „zawszeć jednak mężczyzna przydać się człowiekowi potrafi, a baba... et, pożal się Boże“! Filipina, wzrosła wśród wiejskiego ludu, doskonale znała umysł chłopa. Pewna więc była, że sumienna praca, prostota i szczerość w obejściu się, a nadewszystko dobre nauczanie dzieci zapewnią jej z czasem miłość i uznanie tego ludu. Zresztą chodziło jej przedewszystkiem o spełnienie powinności, a powinnością swą nazywała oddanie wszystkich swych sił na pożytek ludu.

Gdy się rozpoczęła nauka, dziwiły się dzieci, że nowa nauczycielka mówi z niemi po polsku, że uczy je polskiego czytania i pisania, a takie ciekawe bajki opowiada, że aż miło słuchać. Któraś z matek zajrzała do szkoły tak „przez ciekawość“, a potem opowiadała sąsiadkom, że ta nowa nauczycielka jakaś „inna“. Gospodynie zaczęły się naradzać, rozpytywać dzieci, coraz częściej same odwiedzały nauczycielkę i to jedna, to druga decydowały, że jak tylko zbiorą kartofle, poszlą swe dzieci do szkoły. Już w listopadzie chodziło do szkoły 70 uczni. Powszechnie wiadomem jest, że przeciętny nauczyciel z trudnością daje sobie radę z czterdziestoma dziatwy, że przy tej już liczbie mniej zdolni uczniowie bywają zazwyczaj zaniedbywani. W janisławickiej szkole było 70, a żaden nie był zaniedbanym. Wprowadziła bowiem Płaskowicka system wzajemnego nauczania: zdolniejsi uczyli słabszych. Nowego nie brało się aż wszyscy umieli to, co było już wyłożone. Umiała zaś nauczycielka wszystkich natchnąć takiem pragnieniem dobrych postępów, że leniwych wcale nie było. Częste przerwy dawały możność dzieciom wyładować energię w swobodnym ruchu na świeżem powietrzu tuż przed szkołą i po każdej pauzie wracały one do roboty z nowym zapałem. Wesoło było w szkole, lecz aby taką wesołość podtrzymać, trzeba było każdego poznać i na każdego odpowiednio wpłynąć. Była to kolosalna praca!

Filipina jednak z największą niecierpliwością oczekiwała rewizyi, bo miała nadzieję wyjednać pozwolenie rozpoczęcia wieczornych wykładów dla starszych. I istotnie potrafiła tak ująć sobie rewizora, że pozwolenie takie dostała.

Natychmiast po odjeździe rewizora zawiadamia Płaskowicka przyjaciół o otrzymaniu pozwolenia, a ci dostarczają jej książek, map geograficznych, rycin, trochę przyrządów do doświadczeń fizycznych i chemicznych. Wykłady Filipiny nie były systematycznem nauczaniem pewnych jakichś nauk. Głównym jej celem było rozbudzenie myśli, i wyzwolenie jej z przesądów. Rozbudzony zaś krytycyzm usiłowała ona skierować przedewszystkiem ku rozważaniu społecznych i politycznych stosunków. Wykładając naprzykład o „ziemi, słońcu i gwiazdach“, mówiła: „widzimy, jak to potężne słońce, co kieruje ruchem ziemi i wszystkich planet, obdarza je obfitem, jasnem światłem, a ciepłem własnem, jak matka kochająca, ogrzewa. Z tego ciepła, z tego światła wszyscy korzystają. Szkoda, że między ludźmi dzieje się wcale inaczej!... Kto ma władzę i siłę, ten nieraz biedakowi ostatni grosz zabiere, każe na siebie pracować, a płaci.. pożal się Boże!...“ — Oj

prawda, prawda, panienko, — powtarzali słuchacze, a potem długo między sobą na ten temat gwarzyli.

Widziała Płaskowicka, jak silnie słowa jej poruszają serca słuchaczy, czuła się „bardzo szczęśliwą“, choć warunki codziennego życia miała nieznośne. Mieszkała w izdebce tak licho na zimę zaopatrzonej, że podczas nocy nieraz woda w konewce zamarzała. W zimniejsze dnie musiała sypiać w ciepłem ubraniu i obuwiu. Zupełnie też nie zwracała uwagi na odżywianie się. Sama już praca nadmierna przy najlepszych warunkach mogłaby nadwerężyć zdrowie nawet silnego człowieka. Filipina zaś miała dziedziczne usposobienie ku sercowej chorobie, które reumatyzm spotęgował. Gdy towarzysze pragnęli polepszyć warunki jej życia, za nic się nie zgadzała. „Każdy grosz wolę użyć na książki, lub przyrządy szkolne“ — powiadała. Gdy namawiano ją, aby nie zamęczała się tak pracą... „Wiecie, żem chora na serce“ — mówiła — „trzeba się śpieszyć... Czy ja wiem, co będzie jutro?...“ Pracowała więc bez wytchnienia, a kładła się do łóżka wtedy dopiero, gdy już na nogach ustać nie mogła. Ledwie zaś trochę jej ulżyło, już się znowu zrywała i brała do wyczerpującej pracy.

Z nadejściem wiosny rozpoczęły się roboty w polu i starsi nie mogli już uczęszczać na wykłady wieczorne: trzeba było je odłożyć do przyszłej jesieni. Ubyło pracy, i zimno nie tak już dokuczało, częściej też na stole zjawiało się świeże jajko, a Filipina nabierała sił. Na egzaminie dziatwa wykazała świetne postępy. W czasie zaś wakacyjnym wezwano Płaskowicką na zjazd nauczycielski. Z kolegów po fachu została ona jednak bardzo niezadowoloną: nie znalazła ani jednego, którego by można było pozyskać dla socyalizmu. Ponieważ jednak widziała między nauczycielami ludzi bardzo jeszcze młodych, postarała się rozbudzić ich myśl chociażby w kierunku fachowym, poruszyła więc na posiedzeniach zjazdu kilka kwestyi. Referat jej o wzajemnem nauczaniu, zastosowanem w janisławickiej szkole, jako też dyskusya nad nim, dobitnie wykazały rozległą wiedzę i nadzwyczajne zdolności Filipiny.

Jeśli wśród fachowych kolegów Płaskowicka nie znalazła towarzyszy, to miała ich wśród warszawskiego kółka socyalistów. Najbardziej zaprzyjaźniła się z Józefem Pławińskim, Szymonem Diksztejnem, Ludwikiem Waryńskim i Kazimierzem Dłuskim, bardzo też wysoko ceniła Kazimierza Hilda. Filipina była zwolenniczką teoryi rosyjskiego socyalisty Ławrowa. Sądziła ona, że obowiązkiem każdego socyalisty jest szerzenie wśród ludu zasad „naukowego socyalizmu“ i organizowanie zdecydowanych socyalistów. Sieć organizacyi, powiadała, powinna objąć cały kraj i korzystać z każdego zjawiska dla wykształcenia świadomości klasowej w masach; gdy zaś nastąpi stanowcza chwila, gdy wybije godzina powstania, wtedy organizacya socyalistyczna powinna ująć w swe ręce władzę i przebudować obecne społeczeństwo, kierując się zasadą: „daj społeczeństwu, co dać możesz, stosownie do zdolności twych i sił, a bierz, co ci potrzeba“. Rewolucya miała zburzyć wszystko, co się opiera na wyzysku, a że państwa

obecne są największymi wyzyskiwaczami, runąć więc miały państwowe granice i musiało zapanować braterstwo wszystkich ludów. Nie przesądzała Płaskowicka, kiedy nastąpi owa rewolucya, sądziła jednak, że gwałtowny, krwawy wybuch nastąpić musi, a wyzyskanie tego wybuchu będzie tem zupełniejsze, im lepiej zorganizowaną będzie partya socyalistyczna. Partya ta nie powinna dbać o natychmiastowe zdobycze (była to słaba strona poglądu) lecz musi bujać po najwyższych szczytach ideałów społecznych, albowiem im większe będą jej pragnienia, tem bardziej zbliży się ona do tych ideałów w praktyce nazajutrz po rewolucyi. Lecz jeśli socyalistom nie wskazano jest łudzić się „mniemanemi zdobyczami" (obecnie żaden socyalista z tem się nie zgodzi), to powinnością ich jest kształcić swą „bojową gotowość" w nieustannej walce z wyzyskiem i przemocą. Dlatego też — i tylko dlatego — należy urządzać demonstracye, strejki i wszelkiego rodzaju masowe protesty.

Muszę nadmienić, że w owym czasie socyaliści polscy zaczęli dopiero omawiać w swych kółkach potrzebę zestawienia swych ideałów w formie wspólnego programu. Partya w znaczeniu politycznej siły dopiero zaczynała się tworzyć, a młodzi zwolennicy socyalizmu najbardziej ufali w skuteczność zapału i wiary. Płaskowicka należała jednak do najtrzeźwiejszych. Dowodziła ona, że przy werbowaniu zwolenników musimy być nadzwyczaj ostrożni, i na tem polu ciągłe staczała walki z Waryńskim. Z największym zapałem dowodziła konieczności prowadzenia organizacyjnej roboty jednocześnie w mieście, jako też między chłopami. Już wtedy udało się jej spropagować kilku chłopów, a po roku miała nadzieję zorganizować w Janisławicach zupełnie samodzielne chłopskie kółko socyalistyczne. „Wtedy, powiadała, przeniosę się do innej szkoły; a gdyby nas było więcej, to stworzylibyśmy w przeciągu kilku lat bardzo poważną siłę, bo chłop, gdy rusza, to rusza gromadnie, i ruch jego nabiera żywiołowej siły".

We wrześniu 1877 roku wraca Płaskowicka do Janisławic. Teraz już zapisuje się odrazu stu uczni. Bez systemu wzajemnego nauczania nie dała by sobie rady, dzięki zaś niemu miała czas na wieczorne odczyty i na specyalne zajęcia z wybranymi. Sądziła ona, że większość musi pozostać bierną, że czynnemi mogą być tylko wyjątkowe jednostki. Wybrała też kilku najenergiczniejszych, najzdolniejszych i utworzywszy z nich kółko, starała się wyrobić ich na samodzielnych agitatorów. Musimy pamiętać, że pierwsze polskie broszurki agitacyjne zjawiły się dopiero w maju 1878 r., ale żywe słowo Płaskowickiej okazało się skuteczniejszem od wszelkich broszurek. Po aresztowaniu Płaskowickiej nawiązałem stosunki z jej janisławickimi przyjaciółmi i nieraz podziwiałem gruntowność ich przygotowania.

Z końcem szkolnego roku, t. j. w czerwcu 1878 r., przyjeżdża Filipina do Warszawy i wstępuje na kursa ogrodnictwa, aby po nauczeniu się tego fachu przenieść się do innej szkoły. Była już pewną, że zorganizowane przez nią kółko potrafi samodzielnie się rozwijać. W tym czasie warszawiacy prowadzili ożywioną propagandę wśród robotników w tak zwanych „kasach oporu". W tym też czasie, po-

wstał projekt stworzenia pierwszej wielkiej polskiej socyalistycznej organizacyi robotniczej. Płaskowicka brała czynny udział w dyskusyi nad planem tej organizacyi. Pochwalała myśl oddania kierownictwa całej sprawy kółku „organizatorów“, składającemu się z delegatów robotniczych kółek „rewolucyjnych“. Broniła myśli łączenia nowicyuszów w osobnych kółkach „przygotowawczych“, stojących do pewnego stopnia poza organizacyą. Przypisywała też wielką wagę dopuszczeniu do kółek „specyalnych“ ludzi nie należących do partyi. Wszystko to dla chwili obecnej straciło już znaczenie, lecz w owym czasie uchodziło za sprawy niezmiernej wagi. W chwilach odpoczynku pracowała wówczas Filipina nad ułożeniem książki dla dzieci. „Nasze dzisiejsze wydawnictwa dziecinne, mówiła, wypaczają umysł dziecka. Cacę, aby moja książka uczyła dzieci badać zjawiska i wnioskować na podstawie faktów. Chciałabym wykazać im powab wszelkiej swobodnej twórczej pracy. Chciałabym wzbudzić w nich obrzydzenie do wszelkiego wyzysku i pragnienie bratniego stosunku między ludźmi. Chciałabym wpoić w mych czytelników przeświadczenie, że każdy dobry czyn — to nie zasługa, lecz spełnienie powinności i że świadomość spełnionej powinności daje nam najwyższe i najtrwalsze zadowolenie. Chciałabym, jednem słowem, przyczynić się, aby dzieci nasze wyrabiały się na czynnych obywateli społeczeństwa“. Nieraz czytywała mi Filipina ustępy swej pracy, a w każdym z nich tyle było życia, prostoty i piękna; tyle — szczerości, ciepła i zdrowych społecznych myśli, że naprawdę żadna ze znanych mi książek dla dzieci nie mogła wytrzymać porównania z tą pracą. Co stało się z rękopismem Płaskowickiej — nie wiem. Po jej aresztowaniu wszelkie poszukiwania pozostały bez skutku. Prawdopodobnie żandarmerya zrabowała ten świetny utwór pióra Filipiny. Być może, uważała go za materyał dowodowy. Pisała mi Filipina, że w protokóle rewizyi nie było wzmianki o rękopismie, w mieszkaniu zaś nie można go było też znaleść. Na zapytania Filipiny żandarmi odpowiadali, że nic nie wiedzą o jej rękopismie.

Nadmieniłem już o niezwykłym talencie Filipiny do jednania sobie ludzi. Umiała ona po mistrzowsku grać na strunach duszy każdego, a szczególnie na strunach duszy kobiecej. Nie dziw więc, że bardzo prędko po przyjeździe do Warszawy miała już rozległe znajomości między robotnicami. Gdy powstał projekt pierwszej organizacyi, Płaskowicka założyła kółko kobiet, które potem oddało znakomite usługi przy porozumiewaniu się z więźniami. Prowadziła też Filipina obszerną korespondencyę z kobietami w Cesarstwie, werbując je do roboty w kraju w charakterze nauczycielek ludowych.

Korespondencya ta, przełapana podczas jednej z rewizyi gdzieś na Podolu, była powodem aresztowania Płaskowickiej w sierpniu 1878 roku w Warszawie. Czas jakiś sądziliśmy, że Płaskowicka musi być uwolnioną. Wiedzieliśmy bowiem, że przełapane listy zawierały tylko wezwanie do sumiennej pracy nad oświatą ludu. Wiedzieliśmy też, że w Janisławicach pomimo najściślejszej rewizyi nic nie znaleziono i nie zdołano wymódz na chłopach ani jednego kompromitującego zeznania. Taki jednak wyżeł carski, jak Plewe, przeczuł, kto

wpadł w jego ręce. Dość mu było tego, że w warszawskiem mieszkaniu Płaskowickiej znaleziono przy rewizyi parę socyalistycznych broszur, a im lepsze świadectwa przychodziły, tem stawała się ona w jego oczach niebezpieczniejszą. Zamknęły się więc szczelnie za Filipiną bramy więzienne.

Przecież ludzie tej miary, co Płaskowicka, nie uginają się pod żadnym ciężarem, nie tracą energii w żadnych warunkach, dopóki im tchu starczy. Tak i Filipina wraz z Józefem Pławińskim postanawiają wydawać w X pawilonie „Głos Więźnia". Między towarzyszami więzienia znalazło się parę poetów i artystów. Każdy więc numer zawierał wiersze i był ozdobiony pięknemi winietami i ilustracyami piórkowej roboty. Artykuły wstępne pióra Filipiny i Pławińskiego tryskały werwą i dowcipem. „Kronika poszukiwań redakcyi naszego Głosu" w tak komiczny sposób przedstawiała szereg bezowocnych usiłowań przyłapania redakcyi, że czytelnik w żaden sposób nie mógł wstrzymać się od szczerego śmiechu. Były tam też odezwy do towarzyszy, były słowa zachęty do dalszej pracy, pełne energii i zapału. Do największej jednak wściekłości doprowadzała żandarmów rubryka: „telegramy". Tam bowiem zawsze stała jakaś najświeższa wiadomość z zewnętrznego świata. „Głos więźnia" miał nadzwyczajne agitacyjne znaczenie. Nietylko w „kółkach" wzrastającej wówczas młodej organizacyi, ale i w szerszych kołach arkusze te zapisane i wyrysowane w celach więziennych, a świadczące o niebywałym zapale autorów, wywoływały podziw i zachwyt, pogłębiały nienawiść ku ciemięzcom i sympatyę ku tym dzielnym socyalistom, których nic złamać nie może...

Nie mogliśmy pogodzić się z myślą, że Filipina nie wróci już w nasze szeregi. Sama ona łudziła się, a może nam tylko tak pisała, że żandarmi nie mając przeciw niej faktów, wypuszczą ją niebawem. Nie wierzyliśmy temu. Powstał więc plan odbicia jej żandarmom. Chcieliśmy skorzystać z tego, że na przesłuchanie wożono więźniów z X pawilonu do miasta. Filipinie proponowaliśmy zgłosić się do zeznań, a nas zawiadomić, kiedy ją powiozą. Po drodze mieliśmy napaść znienacka na żandarmów, obezwładnić ich, a Płaskowicką odwieść w bezpieczne miejsce. Ludzi chętnych i zdolnych do wykonania planu takiego nie brakło, kryjówka też była, lecz Filipina stanowczo odrzuciła naszą propozycyę. „Nie chcę, pisała, abyście wy, wolni i zdrowi, narażali dla mnie swoją swobodę, a może i życie. Gdybym się zgodziła mogłaby krew popłynąć, a ja czuję, że długo już nie pociągnę". Zagroziła, że odpisywać nie będzie więcej w tej kwestyi. Nie zwykła ona o niczem decydować bez namysłu, lecz co postanowiła, tego się trzymała niewzruszenie. Zaniechaliśmy więc zamiaru wyrwania jej przemocą, a ona pisała nam, że gdy ją oswobodzą — będzie musiała zniknąć na czas jakiś, aby rozpocząć nową robotę pod cudzem nazwiskiem. „Lecz jam chora — muszę się śpieszyć"... i polecała nam przygotowanie dla niej zawczasu paszportu i innych dokumentów. Odpisaliśmy, że wszystko będzie miała, i to była bodaj czy nie ostatnia wiadomość, co ją pocieszyła.

W maju 1880 r. przeczytano Płaskowickiej wyrok, skazujący ją na pięć lat wygnania do wschodniej Syberyi. Wyrok ten należał do najcięższych w pierwszej sprawie polskich socyalistów, a wydany był nie przez jakikolwiek sąd, lecz drogą administracyjną, bez żadnej rozprawy, na podstawie tego, co spisali żandarmi pod dowództwem Plewego (był on wówczas prokuratorem, dziś jest ministrem spraw wewnętrznych). Pamiętajmy, że w owym czasie w Rosyi rozpoczynał się teror na dobre; nasi zaś pierwsi towarzysze skazywani byli za samą tylko propagandę.

I taki jednak „łagodny" wyrok okazał się dla Płaskowickiej, wycieńczonej reumatyzmem, chorobą sercową i nabytemi w więzieniu suchotami, śmiertelnym. Wleczono ją wpół żywą na wygnanie. Filipina zaś nigdy nie lubiła o nic prosić siepaczy. Nie prosiła nawet, aby ją gdzieś w szpitalu złożono. Póki starczyło sił, sama wsiadała do wagonów i statków, a gdy już nogi tak osłabły, że ciężaru wycieńczonego jej ciała udźwignąć nie mogły, przenoszono ją z wozu na wóz. Uwożono ją coraz dalej, dalej... aż do jednej z pocztowych stacyi pod Krasnojarskiem podjechała kibitka z trupem Filipiny.

Zapamiętajmy sobie dobrze tę zbrodnię caratu, a idealna postać Płaskowickiej niech wiecznie żyje w sercach socyalistów. Cześć jej pamięci!

Amerykanin



PODZIAŁ DOCHODU KRAJOWEGO W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Były kiedyś czasy, gdy ziemia polska dawała wszystkim swym mieszkańcom chleb i byt znośny. Były to czasy, kiedy panowie nie zawładnęli jeszcze całą ziemią, gdy gruntu było podostatkiem, a łąki, lasy i pastwiska należały nie do pojedyńczych właścicieli, lecz do całych gmin wiejskich. W szesnastem stuleciu nie znano w chacie włościańskiej ani wódki, ani herbaty lub kawy, lecz przedewszystkiem w całym kraju nie znano głodu i nędzy; było wówczas rzeczywiście tak, jak pisał jeden z ówczesnych pisarzy:

„Każdy w granicach ojczyzny swej chleba
Może dostawać, ile mu potrzeba."

Dziś jest inaczej. Setki ludzi nie mogą dostać chleba w granicach swej ziemi i idą szukać go w daleki świat. Ci, co pracują w pocie czoła od świtu do nocy, nie mają dość chleba, by wyżywić siebie i swe dzieci. Bieda panuje po wsiach i wygania z nich ludzi

do miast — po zarobki. W miastach o zarobek trudno, bieda więc i tutaj rozciąga swe panowanie, trapiąc najpracowitszych. Podczas kryzysów ludzie giną z głodu na ulicach Warszawy i Łodzi. Ziemia polska stała się macochą dla ogromnej ilości swych dzieci.

Gdzie przyczyna takiego stanu rzeczy? Czy może ziemia rodzić przestała tak obficie jak dawniej? Czy ludzi za dużo się namnożyło? Czy zubożeliśmy tak bardzo, że chleba dla wszystkich nie staje?

Rozmaici ludzi różnie odpowiadają na te pytania. Jedni mówią, że ziemia nie daje tyle plonu, co dawniej dawała. Inni twierdzą, że ponieważ przybyło więcej ludzi a ziemi i bogactw nie przybyło, więc bieda musi być i to coraz większa. Zobaczmy jednak, czy prawdą jest, że kraj nasz niema tyle bogactw, by wszystkich mieszkańców utrzymać i czy rzeczywiście ubożejemy coraz bardziej?

Rachmistrze, którzy obliczali wartość produkcyi rolnej, t. j. zboża, bydła itd. wyprodukowanych przez wszystkich gospodarzy co roku w pierwszych latach istnienia Królestwa Polskiego (1816-1820), wyrachowali, że wartość ta równała się 150 milionom rubli; sukna, płótna, żelaza i t. d. wyrabiano na sumę około 12 milionów rubli rocznie. Więc wartość całkowitej rocznej produkcyi Królestwa równała się 162.000.000 rs. Ponieważ Królestwo liczyło wówczas 2.700.000 ludności, znaczy się, że na głowę ludności wypadało akurat 60 rs. Jeżeliby wówczas istniał równy podział krajowego produktu pomiędzy wszystkich mieszkańców, to każda rodzina złożona z dwojga osób dorosłych i trojga dzieci otrzymałaby zboża, sukna, płótna i t. p. na sumę 300 rs.

W roku 1900 wartość produkcyi wynosiła:

Przemysł fabryczny wraz z górnictwem	550.000.000 rs.
Produkcya rzemieślnicza (szewctwo, drobne tkactwo itp.)	100.000.000 „
Produkcya zboża, chów bydła, leśne gospodarstwo .	320.000.000 „
Razem	970 000.000 „

Jeżeliby ten całkowity roczny dochód podzielony był równo pomiędzy dziesięcioma milionami mieszkańców Królestwa, to na głowę wypadłoby 97 rs., czyli na rodzinę złożoną z pięciu osób — 485 rs.

Porównajmy teraz dochód krajowy w r. 1815 z dochodem w r. 1900. Widzimy, że nie zubożeliśmy wcale, lecz przeciwnie — zbogaciliśmy się. Jest w Królestwie obecnie trzy razy więcej ludności, niż dawniej, lecz ludność ta wytwarza daleko więcej zboża i towarów, niż poprzednio. Nie może być więc ani mowy o tem, żeby przyczyną biedy był wzrost liczby ludności. Wzrosła ilość mieszkańców, lecz jeszcze szybciej wzrosła ich siła produkcyjna, powinno więc im być znacznie lepiej, niż było dawniej. Gdzież się podziewają te bogactwa?

Cała ta olbrzymia masa bogactw produkowana jest przez pracę chłopów, górników, tkaczy, szewców, hutników, i setek tysięcy najrozmaitszych robotników i rzemieślników. Zobaczmy, ile ci twórcy krajowego bogactwa dostają w zamian za swą pracę.

Najprzód weźmiemy przemysł bawełniany. W roku 1865 przemysł ten zatrudniał 12.725 robotników, i całkowity produkt ich pracy

wart był 5.000.000 rubli; wydajność pracy jednego robotnika wynosiła więc 394 rs. W roku 1895 robotników było 42.780 a wyrobione przez nich towary warte były 74.282.500 rs.; na jednego robotnika, wypadło towaru za 1.737 rubli. A więc wydajność pracy robotnika t. j. ilość towaru wypadająca na robotnika, zwiększyła się cztery i pół raza. — Przeciętny zarobek robotnika w roku 1865 wynosił 100 rs., w roku 1895 — 175 rs.; czyli zarobek w ciągu tego czasu wzrósł jeden i trzy ćwierci raza. Widzimy, że robotnik wytwarzał w roku 1895 towarów cztery i pół raza tyle co dawniej, a zarabiał zaledwie jeden i trzy ćwierci raza tyle co w roku 1865. Prawie cała zwiększona wydajność pracy poszła w korzyści nie dla robotnika, lecz dla kogo innego!..

Podobne stosunki znajdujemy w fabrykacyi wełnianych tkanin, płótna, jedwabiu. Wszędzie wydajność pracy robotnika kilkakrotnie wzrasta, lecz płaca albo powiększa się tak nieznacznie jak w przemyśle bawełnianym, albo nie wzrasta wcale. Jak nieznaczny jest udział robotników w wytworzonem przez nich bogactwie, uwidocznia następujące zestawienie: wartość wszystkich wyrobów przemysłu tkackiego wogóle, a więc bawełnianego, wełnianego itd. wynosiła w 1895 roku 167.146.000 rs.; sto jeden tysięcy robotników, zatrudnionych w tych fabrykach otrzymało w przeciągu roku 17.675.000 rs.; czyli robotnicy otrzymali mniej niż jedną dziewiątą część wytworzonego przez nich bogactwa.

Wartość cukru wyrobionego w Królestwie w roku 1870 wynosiła 8.537.000 rs.; cukrownie zatrudniały wówczas 12.343 robotników, t. j. wartość wytworu przypadająca na jednego robotnika wynosiła 691 rs. W roku 1898 wartość całkowitej produkcyi rocznej podniosła się do 30.000.000, ilość robotników do 22.500; t. j. wytwór jednego robotnika wynosił 1.333 rs. Wydajność pracy pojedyńczego robotnika wzrosła więc o 100 procent. Przeciętna płaca wynosiła w roku 1890 — 101 rs., w 1898 roku 111 rs. rocznie, czyli w przeciągu osiemnastu lat podniosła się zaledwie o 10 procent.

W gorzelnictwie było zajętych w 1863 roku 8.133 robotników. Wyrobili oni 3.957.000 wiader spirytusu. W roku 1894 produkcya spirytusu wzrasta blisko w dwójnasób, wynosi bowiem 7.839.000 wiader; lecz ilość zatrudnionych przy fabrykacyi nie zwiększyła się, a przeciwnie, zmniejszyła: było zajętych w gorzelniach tylko 2.867 robotników. A więc podwójną ilość spirytusu wyrobiła trzecia część robotników, zajętych w roku 1863. Wprowadzono tyle nowych maszyn i tak ulepszono system wyrabiania gorzałki, że wydajność pracy robotnika w przeciągu tego czasu wzrasta z 486 wiader do 2.561 wiader. I kto korzysta z tych wszystkich ulepszeń? Na czyją korzyść idą one? Bo robotnik w gorzelni dostaje teraz przeciętnie 195 rubli rocznie.

I tak jest w każdym przemyśle, jakiego tylko się dotknąć. — W browarnictwie i młynarstwie wartość produkcyi wynosiła w 1857 roku blisko jedenaście milionów rubli, w 1895 roku — przeszło siedemdziesiąt milionów; lecz ilość robotników wzrosła z dziesięciu do

trzydziestu trzech tysięcy; praca ludzka stała się dwa razy wydajniejszą. — W papierniach w ciągu tego samego czasu produkcya wzrosła 17 razy: z 490.000 rs. do 8.375.000; wydajność pracy robotnika blisko 3 razy: z 437 rs. do 1.209 rs. — W garbarniach i białoskórniach wytwór pracy pojedyńczego pracownika wynosił w 1895 r. 2.766 rubli; przeciętna płaca — 235 rubli. W przemyśle żelaznym wydajność pracy wynosiła w 1857 roku 246 rubli, w 1895 roku — 1.569 rubli; wzrosła więc przeszło sześć razy; a płaca? – W przemyśle chemicznym wydajność pracy jednego robotnika wynosiła w 1857 roku 1.154 rs, w 1895 r. — 3.161 rs., t. j. blisko trzy razy wzrosła; a płaca? — płaca pozostała prawie ta sama — około 190 rubli rocznie.

Weźmy jeszcze hutnictwo i górnictwo. Wydajność pracy w hutnictwie żelaznem wynosiła w 1865 r. 524 ruble; dziś wynosi 1.666 rubli na jednego robotnika. — Ilość wydobytego węgla, obliczona przeciętnie na głowę każdego zatrudnionego pod ziemią człowieka, wynosiła w 1874 r. 6.400 pudów, a w 1894 r. 16.380 pudów. Tak jak dziś rzeczy stoją, jeden nasz górnik wydobywa więcej węgla aniżeli nawet górnik angielski; prócz tego węgiel w Królestwie jest znacznie droższy niż w Anglii; mogłoby się więc zdawać, że polski górnik powinien zarabiać więcej. aniżeli angielski: lecz gdzie tam! zarabia zaledwie połowę tego, Płace górnicze poczęły po roku 1890 gwałtownie obniżać się, i tylko dzięki późniejszym strejkom obniżka ta została wstrzymana. To, co różni panowie mówią na zjazdach przemysłowców górniczych, jakoby płaca górnika wzrosła w ostatnich czasach o 20 procent, jest bezczelnym fałszem; górnicy w ostatnich kilku latach uzyskali nie 20 procentową, a znacznie mniejszą podwyżkę, lecz nawet tak podwyższona płaca jest niższa od płacy przed rokiem 1890.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę nie pojedyńcze fabryki lub oddziały przemysłu, lecz cały przemysł fabryczny i górniczy, i obrachujemy przeciętną płacę robotnika, to taka przeciętna płaca wynosi cokolwiek mniej niż 200 rubli rocznie. Robotników zatrudnionych w wielkim przemyśle jest 250.000. Całkowita wartość wytworzonych przez nich towarów wynosi pięćset pięćdziesiąt milionów rubli. Wartość towarów, przeciętnie przypadająca na jednego robotnika, wynosi 2.200 rs. Jeżeli nawet przypuścimy, że każdy robotnik dostaje przeciętnie 200 rs. rocznie, to znaczy, że przy dzisiejszej stopie wynagrodzenia robotnicy otrzymują zaledwie jedenastą część wartości wytworzonych przez siebie towarów. Nikt nie żąda, by robotnicy fabryczni otrzymywali na swój własny użytek wszystko, co wytworzą. Jeśliby zechcieli zatrzymać dla siebie wszystkie wyprodukowane bogactwa, to w takim razie dla robotników mularskich, kolejowych, tramwajowych, dla lekarzy, włościan i t. d., nie pozostałoby ani jednego łokcia płótna, ani kawałka węgla. Lecz najprostsza sprawiedliwość wymaga, by wzrost wytwórczości pracy robotnika szedł na jego korzyść: jeżeli robotnik w przemyśle żelaznym potrafi obecnie wyprodukować sześć razy tyle towaru co dawniej, to jego zarobek powinien być odpowiednio większy. Tak jak jest dzisiaj, ze wzrostu wydajności pracy robotnika korzystają inni — lecz nie on sam. Dziś, ta najpracowitsza klasa naszego narodu, licząca

wraz z rodzinami około miliona osób, ta klasa, która siłą swych mięśni i swą zręcznością wytwarza więcej niż połowę krajowego dochodu, — ta sama klasa nie dostaje nawet dość chleba, potrzebnego do podtrzymania jej egzystencyi.

* * *

Do lepiej wynagradzanych należą rzemieślnicy pracujący w małych warsztatach u przedsiębiorców lub na swój własny rachunek. Liczba ich, wraz z czeladnikami, uczniami i rodzinami wynosi około trzech ćwierci miliona. Przeciętny zarobek dorosłego mężczyzny wynosi tutaj około 300 rs. rocznie Rzemieślnicy, choć lepiej wynagradzani niż robotnicy fabryczni, są pod pewnymi względami upośledzeni bardziej, aniżeli ci ostatni. Dzień roboczy w fabrykach i większych przedsiębiorstwach trwa długo, lecz nie trwa czternastu ani szesnastu godzin; tymczasem w drobnych warsztatach, w piekarniach, ślusarniach, szwalniach i t. d. ludzie pracują nieraz bez miary i końca: godziny określone nie są, majstrowie pilnują, by przychodzić wcześnie, odpoczynki są krótkie, noc zastaje wszystkich przy pracy. Wielu terminatorów nie zna wcale, co to godziny spoczynku: skończy się praca w warsztacie, trzeba służyć majstrowi lub lecieć na posyłki. W fabryce pracować trzeba dwanaście godzin, lecz po skończonej robocie każdy może robić, co mu się podoba, przez te kilka godzin, jakie od snu wykraść można; w wielu warsztatach ludzie muszą robić dopóty, póki ich sen z nóg nie zwali.

O położeniu włościan mówiliśmy obszerniej w jednym z poprzednich numerów „Światła“. Tu przypomnimy tylko, że są włościanie, którym się dzieje nieźle, lecz olbrzymia większość, trzy czwarte całej masy włościan ma dochód niezmiernie mały, nie wystarczający na należyte zaspokojenie najskromniejszych potrzeb. Przeciętna płaca robotnika rolnego w Królestwie wynosi 36 kopiejek dziennie, (t. j. trzecią część zarobku robotnika rolnego we Francyi, połowę zarobku robotnika rolnego w Prusach i o $^1/_3$ mniej niż wynosi płaca robotnika rolnego w Rosyi); licząc nawet, że rok roboczy na wsi liczy 300 dni widzimy, że roczny dochód najmity rolnego wynosi 108 rs.

Zarobki robotników, zatrudnionych przy budowie domów, robotach ziemnych, przy kolejach i t. d. i t. d., są również nadzwyczaj niskie. Choć np. mularze zarabiają około dwóch rs. dziennie, jednakże ich „sezon“ trwa zaledwie siedem miesięcy a przez resztę roku pracy nie mają; jeżeli więc obrachować ich dochód całoroczny, zobaczymy, że wynosi 250—300 rs Ludzie, zajęci jako t. zw. „pomoc mularska“, zarabiają zaledwie połowę tej sumy. Dróżnicy kolejowi, smarownicy, brekowi i t. p. pobierają 12 do 18 rs. miesięcznie. Zarobki woźniców, stróżów, drwali, tragarzy i t. d. wynoszą przeciętnie 15 rs. miesięcznie.

Lecz ci wszyscy ludzie, ta milionowa armia, produkująca bogactwa krajowe, nie mają nawet tego przywileju, by módz zjeść w spokoju swój własny kawałek chleba. W Królestwie, nawet podczas lat pomyślnych, jest stale około 20.000 robotników bez zajęcia. Te

20.000 osób, ta wielka armia rezerwowa, częściowo utrzymuje się z własnych oszczędności, lecz przeważnie korzysta z pomocy krewnych i znajomych mających zajęcie. Ci, którzy pracują, karmią tych, którzy pracy nie mają. Z małej ilości bogactw, jaką rok rocznie otrzymuje proletaryat pracujący, oddaje on jeszcze część swym braciom, dla których niema miejsca w fabrykach i na roli. Głodni dzielą się chlebem z głodnymi.

Pozostaje jeszcze jeden, ostatni dział pracowników — tak zwana inteligencya: technicy fabryczni, buchalterzy, lekarze, urzędnicy, handlowcy, nauczyciele i t. d. Ci ludzie pracują zwykle lżej od robotnika fabrycznego, bardzo rzadko ciężej, ich zajęcie nie wala rąk i nie smoli twarzy, lecz wszyscy oni wydatkują swą siłę roboczą tak samo, jak wydatkuje szewc lub górnik. To, że ich praca polega na wydatkowaniu siły mózgu a nie siły mięśni, bynajmniej postaci rzeczy nie zmienia: praca jest pracą zawsze, bez względu na formę, w jakiej się przejawia. Inżynierzy, rachmistrze, dozorcy i t. d. sami nie potrafiliby nic wykonać; robotnicy, pozostawieni bez kierownictwa, również nie potrafiliby należycie pracować; dopiero ich wspólna praca, współdziałanie jednych i drugich, wytwarza całą masę krajowego bogactwa. Ta klasa inteligentnych pracowników, dzięki swemu wykształceniu i większym potrzebom życiowym, zdołała sobie już dzisiaj zapewnić znośny byt i utrzymanie. Zarobki tej klasy pracowników są, na ogół biorąc, znacznie wyższe niż zarobki robotników fabrycznych lub rzemieślników. Płace roczne, pobierane przez nich, wahają się od kilkuset do kilku tysięcy rubli.

* * *

Skończyliśmy już przegląd zarobków wszystkich klas pracujących, a raczej jednej olbrzymiej klasy pracującej. Jej dłoń przędzie tkaniny i buduje maszyny, jej grzbiet przenosi ciężary i zgina się nad pługiem, jej myśl wynajduje wzorzyste desenie tkanin i tworzy plany wielkich dzieł. Wszyscy oni, przez sam fakt pracy, są współpracownikami wielkiej, nieuporządkowanej jeszcze organizacyi przemysłowej, obejmującej kraj cały, i współtwórcami krajowego bogactwa. Ich wspólne wysiłki sprawiają, że Królestwo Polskie posiada setki milionów rocznego dochodu.

Więc tylko ta olbrzymia klasa pracowników ma prawo do wszystkich własną pracą wytworzonych bogactw. Czy zaś je otrzymuje?

Widzieliśmy powyżej cyfrę, wyrażającą całą wartość krajowego dochodu, widzieliśmy również liczby, wykazujące wysokość zarobków. Jeżeliby istniała w Królestwie dokładna statystyka dochodów, taka, jaka istnieje w innych krajach, moglibyśmy z łatwością, dodawszy razem cyfry przedstawiające zarobki robotników, znaleść sumę, przedstawiającą dział, jaki wszyscy pracujący otrzymują z wytworzonych przez siebie bogactw. W Anglii, w Niemczech rząd taką statystykę prowadzi i w krajach tych obliczenie dochodu klasy pracującej może być dokonane z pożądaną dokładnością; tamtejsi robotnicy mają choć tę satysfakcyę, że wiedzą dokładnie, na ile są wyzyskiwani. W Króle-

stwie Polskiem rząd rosyjski o zbieranie takich wiadomości statystycznych wcale się nie troszczy, nie możemy więc nawet wiedzieć dokładnie, jaki jest dochód całej naszej klasy pracującej. Już jednak z cyfr, wykazujących przeciętne zarobki robotników fabrycznych, widać, jak niewielki jest udział pracujących w dochodzie krajowym. Jeżeli zaś, na zasadzie tych danych, jakie daje nam dzisiejsza statystyka rządowa o dochodzie różnych kategoryi ludzi, obliczyć przypuszczalny dochód z pracy wszystkich robotników, chłopów, rzemieślników, i t. d., to zobaczymy, że dochód ten w żadnym razie nie przenosi 400.000.000 rs. Ponieważ zaś, jak wiemy, roczny dochód krajowy wynosi 970.000.000 rs., widoczne jest więc, że robotnicy, na ogół biorąc, otrzymują mniej, niż połowę wyprodukowanych przez siebie bogactw. Co się dzieje z drugą połową?

Jakaś niewielka stosunkowo część tej sumy idzie na wynagrodzenie urzędników, zarządców, administratorów i t. d., t. j. tych ludzi, którzy reprezentują t. zw. pracę inteligentną. Znaczna liczba tych pracowników otrzymuje zaledwie tyle, ile im wystarcza na koszta utrzymania; inni, mniejszość, zajmują, dzięki swym wpływom i stosunkom, dobrze płatne posady; pomiędzy tą klasą są ludzie, posiadający specyalne talenty: artystyczne, organizatorskie, kupieckie. Ci niezwykle zdolni ludzie oddają nieraz społeczeństwu znaczne usługi, lecz natomiast często otrzymują wzamian wynagrodzenie olbrzymie, nie proporcyonalne ani do kosztów ich własnego utrzymania i wychowania, ani do doniosłości oddawanych usług, lecz jedynie do stosunkowej rzadkości posiadanego przez nich talentu. Ani liczba tych pracowników ani ich dochód nie może być dokładnie obliczony; szeregi ich zawierają pracowników najrozmaitszego rodzaju: od niezwykle dzielnego rzemieślnika do arcybiskupa, od licho płatnego urzędniczka do modnego powieściopisarza.

Lwia część krajowego dochodu dostaje się w udziale niewielkiej grupie ludzi zato tylko, że raczą być właścicielami ziemi, fabryk, kapitałów. Jest to tak zwany przez ekonomistów „dochód z własności". Ekonomiści dzielą ten „dochód z własności" na trzy części: na rentę, zyski i procenty. Dochód właścicieli ziemi i domów, dochód właścicieli fabryk, różnych akcyonaryuszy, właścicieli najróżnorodniejszych przedsiębiorstw i całego szeregu osób, które, jako właściciele, nie pracują wcale, pochłania setki milionów z ogólnej sumy krajowego bogactwa. W dochodach naszych lepiej się mających włościan — właścicieli, majstrów i t. d. również znajduje się część, należąca do tej kategoryi „dochodu z własności": mają oni z najrozmaitszych źródeł pochodzące nadzwyczajne dochody, zwane „czystym zyskiem". Są i robotnicy, którzy pobierają procent od pieniędzy, złożonych w kasach oszczędności. Udział jednak klas pracujących w „dochodzie z własności" jest tak drobny, że może być zupełnie przemilczany. Pod temi trzema nazwami: jako renta, jako zysk, lub jako procent, lwia część produktu krajowego dostaje się w udziale niewielkiej liczbie ludzi bez żadnego z ich strony wysiłku. Właściciele, jako tacy, otrzymują dziesiątki i setki milionów, nie oddając społeczeństwu absolutnie żadnych usług.

W Królestwie Polskiem około 470.000.000 przypada na zysk, procenty, rentę, pobierane przez osoby prywatne, oraz na pensye pobierane przez nierobotników.

Ale nie dość tego. Do podziału bogactw u nas zjawia się jeszcze rząd rosyjski i wyciąga swą drapieżną łapę, by zagarnąć część ich dla siebie. W roku 1900 rząd rosyjski ściągnął podatków na sumę przeszło 160.000.000. rs. Prócz tego rząd rosyjski ma z Królestwa olbrzymie dochody jako właściciel ziemi, kolei, fabryk i kopalń; dochody te w r. 1900 wynosiły 20.000.000 rubli, w czem tylko dochodu z lasów polskich było 4.296.000! Dodajmy te 20 milionów do sumy otrzymywanej z podatków, a będziemy mieli olbrzymią cyfrę 180.000.000 rs., ściąganych przez rząd z Królestwa. Z tych pieniędzy wraca do nas 80 milionów jako wydatki rządowe: dostajemy wzamian najrozmaitszych urzędników rosyjskich, poczynając od zwyrodniałych profesorów uniwersytetu, kończąc na strażnikach ziemskich, dowodzących bandami złodziei; prawda, dostajemy jeszcze utrzymanie w cytadeli i w drodze na Sybir... Sto milionów zagarnia Rosya „na czysto"; — to danina, jaką płacimy za brak samodzielności politycznej.

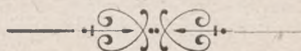
W roku 1900 nasz dochód krajowy dzielił się więc jak następuje:

Renta, zyski, procent, pobierane przez osoby prywatne oraz pensye	470.000.000
Danina zabierana przez Rosyę	100.000.000
Dochód robotników pracujących fizycznie	400.000.000
Razem	970.000.000

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę, że, jak widać z cyfr powyższych, Rosya zagrabia więcej niż dziesiątą część całego krajowego dochodu; jeżeli weźmiemy pod uwagę, że z pozostałych dziewięciu dziesiątych części więcej niż połowa dostaje się w udziale nieznacznej stosunkowo liczbie ludzi a dopiero mniej niż połowa przypada w udziale milionowej rzeszy pracowników; — wówczas zrozumiemy, gdzie leży przyczyna dzisiejszej biedy. Nierówny podział owoców wspólnej pracy wszystkich pracujących warstw społeczeństwa — oto ta przyczyna.

Dzisiaj te tłumy, które swą mrówczą pracą i zapobiegliwością tworzą rok rocznie miliony krajowego dochodu, otrzymują zaledwie tylko tyle, że biedując, mogą jako tako przeżyć czas potrzebny do podhodowania dzieci, by potem z nędzy i wycieńczenia kłaść się w grób; ich dzieci spotyka ta sama kolej. Różnica pomiędzy jednem pokoleniem a drugiem jest tylko ta, że każde nowe pokolenie dostaje coraz mniejszą część całego krajowego dochodu. W ten sposób kroczymy wciąż naprzód...

Stefan Karski.



Kontrrewolucya w powstaniu 1830 roku.

Spiskowcy z listopadowego powstania obmyślili dokładnie, w jaki sposób moskali w Warszawie pobić i rozbroić, ale nie troszczyli się o to, kto w oswobodzonej stolicy i w oswobodzonym kraju obejmie naczelną władzę nad powstałym narodem. Z tego głównego błędu wynikły bardzo zgubne w swoich skutkach następstwa. Na usprawiedliwienie jednak spiskowców zauważyć potrzeba, że mieli niezmierną trudność w wysadzeniu z łona swego rządu powstańczego. W Polsce w okresie listopadowego powstania żaden człowiek przedtem nie znany, gdyby był nawet geniuszem i okazywał niezwykły spryt polityczny, nie miałby żadnego znaczenia i nie wzbudzałby zaufania. Dowód na Maurycym Mochnackim, którego wybitne zdolności zmarnowały się zaraz w początkach powstania. Reakcya, widząc w nim niebezpiecznego dla siebie człowieka i prawdziwego rewolucyonistę, tak potrafiła przeciw niemu oburzyć nieświadome pospólstwo, że zaczęto dla tego jasnowidzącego polityka stawiać szubienicę. Cóż on takiego zrobił, aby go skazywano zaocznie na tak haniebną śmierć? Oto napędził ogromnego strachu mikołajowskiej radzie administracyjnej z Lubeckim i Czartoryskim na czele: po pierwsze założeniem klubu patryotycznego, po drugie postawieniem następujących wniosków: a) aby się Rada administracyjna Królestwa rozwiązała; b) aby rząd tymczasowy był natomiast postanowiony ; c) aby generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na gwardyę carewicza, wzięcia w niewolę jego samego, i oddania w zakład polskiemu ludowi, „albowiem“ — te były słowa Mochnackiego, „nie z Konstantym w Warszawie, ale z Petersburgiem w Wilnie układać się potrzeba“. Żądania te poniosła Radzie administracyjnej deputacya klubu patryotycznego, otoczona ludem zbrojnym. Do powyższych dodano jeszcze za wpływem M. Mochnackiego następujące punkty: 1-o aby obywatele prowincyi uzyskali upoważnienie do urządzenia powstania w kraju; 2) aby ministrowie i zastępcy ministrów zostali oddani pod dozór straży narodowej do dalszego z nimi postępku; aby żony wojskowych i urzędników rosyjskich zostały oddane pod dozór, ponieważ w ciągłych zostają stosunkach i korespondencyi z mężami swymi; 3) aby z cesarzewiczem w żadne układy nie wchodzić; w cesarzewiczu mieć rękojmię a układać się z Petersburgiem; 4) aby dyrektor poczty zmieniony został, 5) aby ci dowódzcy wojska polskiego, którzy się dotąd nie połączyli z narodem i nieoświadczyli za nami, zostali obwołani zdrajcami kraju: przy zachowaniu tej formalności, aby parlamentarz generała Chłopickiego dał im do tego termin jak najkrótszy; 6) aby natychmiast przystąpiono do wykonania tych żądań, inaczej bowiem Rada administracyjna z n i e w o-

lona będzie przyjąć do swego grona kilku członków klubu, których klub sam wybierze. Celem tego ostatniego punktu było przekształcenie Rady administracyjnej w rząd tymczasowy, który by nie działał w imieniu i w duchu Mikołaja.

Rada administracyjna, która sobie, w braku innej, władzę nad powstającym narodem przywłaszczyła, słysząc szczęk broni eskortującego deputacyę ludu, zrozumiała wreszcie, że trzeba się zgodzić na pewne ustępstwa. Przyrzekła wziąć pod rozwagę wszystkie żądania klubu i przybrała do swego grona dwóch jego wysłańców: M. Mochnackiego i Ksawerego Bronikowskiego. Lubecki z Czartoryskim spodziewali się, że w ten sposób, dobierając do Lelewela i Wł. Ostrowskiego dwóch nowych popularnych członków, uczynią radę popularną i zdołają zażegnać burzę powstańczą. Taktyka ich była bardzo zręczną, ale Mochnacki nie dał się olśnić nową godnością; okazał się prawdziwym i nieprzejednanym rewolucyonistą. Wszedł do rady, bo spodziewał się, że wpłynie na jej rozwiązanie i na utworzenie takiego rządu, jakiego powstający naród potrzebował. Nie chciał więc swoją osobą zasłaniać mikołajowskich ministrów, ale zażądał zaraz ich usunięcia, czem wielce oburzył reakcyjną większość rady. „Rewolucya własnego rządu potrzebuje, w imieniu króla Mikołaja działać nie może“, przemówił śmiało Mochnacki, czem ściągnął na siebie wielką nienawiść całej arystokracyi. Milczano jednak jeszcze, bo obawiano się klubu, a w klubie Mochnacki miał stronników i przyjaciół. Lubecki i Mostowski podali się do dymisyi, ale cała reakcyjna klika ugodowców zmieniła taktykę. Zamiast ubezwładnić klub przyjęciem kilku wpływowych jego członków do rady, co się ze względu na stałość zasad Mochnackiego nie udało, postanowiono działać rozkładowo na sam klub patryotyczny. Arystokracya rozporządza zawsze, niestety, całą zgrają osób, wiszących u jej klamek, głodnych jurgeltników, żyjących z łaski pańskiej, pieczeniarzy z lokajskim temperamentem, udających angielskich torysów, a bijących czołem nawet przed nikczemnymi faktorami arystokracyi. Takich to osobistości cały legion arystokracya posłała do klubu, aby sparaliżować jego rewolucyjną działalność. Dzięki luźnej organizacyi klubowej, przyjmującej wszystkich, którzy się na członków klubu podawali, weszły w skład jego wcale niepożądane żywioły. Każdą instytucyę najlepiej, najłatwiej psuć przez nią samą ze środka. W duchu tej zasady nasłano (3 go grudnia) mnóstwo osób na posiedzenie klubu, żeby się w imię miłości ojczyzny sprzeciwiały dalszym środkom jej ratowania. Posiedzenie było niezmiernie liczne i, jak zawsze, zbrojne. Oficyaliści Lubeckiego, którzy bardziej hojnego ministra finansów, jak Polskę Zygmuntów, kochali, przyjaciele, domownicy i kuzyni wielkich panów, którzy rozprzężoną rewolucyę bardziej jeszcze niżeli obcego despotę nienawidzili; dalej poczet episyerów i obywateli Łubieńskiego, dalej wielu jeszcze nieodkrytych członków policyi tajnej, co o własne drżeli życie, a w klubie szubienicę dla siebie przeczuwali, dalej nakoniec adjutanci, cały dobry ton sztabu i członkowie pewnej kongregacyi, założonej przez Aleksandra Wielopolskiego w celach paraliżowania klubu: wszystko to jakby za umówionym znakiem podało sobie ręce i zeszło

się razem w salach redutowych. Rewolucyoniści, radykaliści i spiskowcy byli w liczbie daleko mniejszej. Mochnacki, nie przenikając tej tak prędko dokonanej zmiany, z tą samą śmiałością i otwartością co na innych posiedzeniach mówić zaczął. „Mija czas kosztowny ze szkodą kraju. Carewicz uchodzi wolno do ziem zabranych. Ludzie z imionami historycznemi, których mieliśmy za patryotów, nie pozwalają utrudzać jego marszu. Ludzie, znani z liberalizmu, weszli w otwarte przymierze z nieprzyjaciółmi kraju. Nieufajmy imionom historycznym (tj. arystokratom). Dokończmy to, cośmy zaczęli, idźmy znowu, idźmy wszyscy razem, z bronią i postanówmy rząd rewolucyjny“. Ledwie to skończył, powstały głuszące okrzyki, jednych bijących na niego, drugich ujmujących się za nim. Grożono mu śmiercią z różnych stron sali. Potem ściągnięto go ze stołu, gdy jeszcze raz chciał mówić i zarzuty swoje usprawiedliwić, otoczono, przyłożono bagnety do jego piersi i jedynie wdaniu się kilku przyjaciół winien był swoje ocalenie. Uchodząc z sali redutowej słyszał za sobą słowa „oszczerca, terorysta — Robespierre polski“. Dziś gdyby żył i wystąpił przeciw dzisiejszym ugodowcom, albo tylko ich faktorom, lub ludziom, którzy patryotyzm wzięli sobie za wygodny proceder do życia, — nazwanoby go anarchistą, warchołem i t. p.

Usiłowanie Mochnackiego ustanowienia nowego rządu rewolucyjnego spełzło na niczem. Jednakże pod wpływem opinii publicznej, szybko następujących wypadków, przystąpienia do powstania pod hasłem Polski niepodległej nowych pułków wojska polskiego, stojących na prowincyi, Rada administracyjna uznała w końcu za stosowne rozwiązać się i przekształcić w Rząd tymczasowy, którego istnienie krótkotrwałe utorowało tylko drogę dyktaturze Chłopickiego. Nazajutrz po opisanej tu scenie w klubie patryotycznym, kontrrewolucya święciła swój tryumf i rozwiązanie klubu patryotycznego wydaniem w przybocznej drukarni Lubeckiego 1-o numeru pisma pod tytułem „Polak Sumienny“, w którem bardzo niesumienne zarzuty porobiono Mochnackiemu.

Rząd tymczasowy wyszedł więc nie z powstania, nie z ramienia spiskowych, którzy to powstanie zaczęli, ale z łona przedpowstaniowej mikołajowskiej Rady administracyjnej. Był natchniony takim samym duchem ugodowym jak owa Rada i duchem układów o polepszenie swobód konstytucyjnych w granicach kongresowego Królestwa. Lubecki, chociaż nie wszedł do składu Rządu tymczasowego, jednak zachował sobie wielki wpływ na jego członków. Lubeckiego zasadę nie zrywania z Mikołajem i z Rosyą przyjął Rząd tymczasowy za wytyczną swej polityki, a Lelewel sformułował ją w ten sposób: „Niech Mikołaj, król konstytucyjny, wojuje z samowładnym carem moskiewskim“. Chodziło więc tym panom tylko o wywalczenie i zabezpieczenie swobód konstytucyjnych. Naród jednak co innego rozumiał, chwytając za broń, — naród pragnął niepodległości i wolności w całem znaczeniu tych wyrazów i to dla całej Polski wraz z Litwą i Rusią. Rząd, który się powstaniu narzucał, nie rozumiał albo raczej nie chciał rozumieć ducha powstania. Bał się, aby powstanie,

zadaleko nie zaszło, nie wymogło reform społecznych, prawdziwej równości i wolności, aby lud wiejski, mieszczanie i robotnicy mieli te same prawa społeczne, które dotąd były tylko przywilejem szlachty. Tego się obawiali możnowładcy, widząc swe przywileje, na przypadkowem urodzeniu i fortunie oparte, rewolucyą zagrożone. Woleli więc układać się z Mikołajem, aby pod opiekuńczemi skrzydłami jego rządów przywileje swe zabezpieczyć. Tu leżał cały sekret niepowodzeń naszych powstań narodowych. Obawa możnych przed rewolucyą społeczną, przed równym wymiarem praw dla wszystkich klas społecznych. Aby więc nie dopuścić do żadnych reform w duchu „jakobińskim“ (ulubione wówczas wyrażenie zacofańców względem postępowców), możni przywłaszczyciele władzy postanowili ograniczyć powstanie do minimum, do rozmiarów demonstracyi zbrojnej, i to tylko w granicach Królestwa kongresowego, zapomnieli o braciach za Bugiem i Niemnem! Dla ich polityki demonstracya zbrojna do pewnego stopnia była potrzebna, aby wytargować na Mikołaju swobody konstytucyjne dla siebie, bo nie dla ludu. Lud konstytucyi nie rozumiał, nie korzystał z niej, ale natomiast rozumiał i instynktowo pragnął Polski całej, wolnej i potężnej. Starcy, żyjący wśród niego, jeszcze ją niepodległą, lub dobijającą się o wolność za Kościuszki pamiętali. Kiedy najbiedniejszy robotnik ze Starego Miasta chwytał za broń w zamiarze wypędzenia moskali z całej Polski, panom chodziło tylko o swobody konstytucyjne — dla siebie.

„O cześć wam, panowie magnaci,
„Za naszą niewolę, kajdany...

Wypadki jednak szybko po sobie następowały. Rząd tymczasowy już w drugim dniu swego istnienia spostrzegł się, że nie zawładnie „burzą powstańczą“, nie zatamuje rewolucyi. Myśl o dyktaturze Chłopickiego dojrzewała już w umysłach wpływowych członków rządu i Lubeckiego jako jedyny środek na opanowanie rewolucyi. Środek tem pewniejszy, że panowie konserwatyści nie obawiali się żołnierskiego jednowładztwa w osobie Chłopickiego, bo jego zasady i zapatrywania na ruch narodowy mieli sposobność dokładnie poznać podczas kilkudniowego z nim urzędowania. Wiedzieli, i za to tem większa spada na nich wina, że Chłopicki, biorąc dowództwo nad wojskiem, nie myślał wcale o odbudowaniu Polski całej i niepodległej, że przyjął dowództwo „dla przywrócenia porządku“ — jak się wyrażał — „dla powściągnięcia rabunków, dla ujęcia w ryzę rozpasanego żołdactwa“ — i to tylko ponieważ go wzywano imieniem Mikołaja. Chłopicki zaraz przy pierwszem zjawieniu się swojem w Radzie administracyjnej oświadczył: „że od powstańców nigdy żadnej władzy nie weźmie“. Przyjął pierwotnie władzę nad wojskiem, ale z rąk Rady administracyjnej, działającej jeszcze w imieniu Mikołaja, króla konstytucyjnego. Słysząc te słowa zastygłego w uczuciach polskich żołdaka, znając jego upór i zapatrywanie na sprawę powstania, konserwatyści z Rady administracyjnej, gdyby mieli odrobinę czysto polskiego patryotyzmu, czyż ofiarowaliby takiemu człowiekowi dowództwo nad siłą

zbrojną powstającego narodu, a w kilka dni później wszechwładną dyktaturę nad całym narodem? Pod ciągłym strachem rewolucyi społecznej poświęcali tu panowie konserwatyści interes ojczyzny publiczny interesom swych ojczyzn prywatnych, jakie w swych ogromnych dobrach posiadali. Trzydzieści kilka lat zaledwie minęło od ostatniego rozbioru Polski, a już poczucie potrzeby jej niepodległości zanikło w sercach większej części naszych możnowładców. Innej Polski nie rozumieli jak przykutej do rydwanu cara moskiewskiego. W klasie naszej arystokracyi, narzucającej się przy każdej sposobności do przodowania narodowi, nie było nawet ambicyi wolnych ludzi, chcących rządzić i przodować bez protekcyi obcego despotycznego rządu. Przykłady czystego patryotyzmu i poświęcenia, jakie przekazali potomności: Karliński, Żołkiewski, Czarniecki, Reytan, Kościuszko, Ignacy Potocki, zatarły się w pamięci tych, którzy władze w powstaniu 1830 r. opanowali. Wyniosłość względem własnych rodaków, których uważają za niższych od siebie, a niezmierna uniżoność i płaszczenie się względem obcych rządów, to cecha naszej arystokracyi. Słusznie więc socyalista francuski Proudhon nazwał ją „fałszywą arystokracyą“, straciła bowiem narodową ambicyę, a zastąpiła ją lokajską arystokracyą. Historya mogłaby nad nią przejść do porządku dziennego, gdyby, niestety, ta kategorya ludzi za pomocą środków materyalnych, które jeszcze posiada, nie zyskiwała sobie u nas znacznej liczby faktorów, niżników, małpujących jej maniery, a wciskających się do organizacyi mającej postęp i niepodległość na celu. Tam, gdzie sami arystokraci nie chcą lub nie mogą wejść, tam posyłają swoich niżników, jurgeltników, faktorów. Ci z początku na wszystko się zgadzają, powtarzają nawet najskrajniejsze demokratyczne hasła, ale niech no tylko poczują się w większości, niech no tylko dobiorą się do kasy jakiej organizacyi lub instytucyi, wtedy widzimy ich blednących i zmierzających na prawo. Wtedy organizacya chyli się ku upadkowi a instytucya zaczyna wegetować. I znowu jak w zaczarowanem kole konserwatywna arystokracya, zabezpieczająca swe przywileje na obcej protekcyi — „przoduje narodowi“. *) Chłopicki jednak, ufny w swą popularność, dyktatury z rąk niedołężnego tymczasowego Rządu przyjąć nie chciał, słusznie zauważywszy, że dyktatora nikt nie mianuje, bo dyktaturę się bierze. Tak bywało w Rzymie w chwilach największego niebezpieczeństwa z zewnątrz. Ogłosił się więc dyktatorem dnia 5-o grudnia na placu broni wobec zebranego wojska i ludu. Zasady Chłopickiego były nieznane szerszemu ogółowi, a przewódcy konserwatystów bynajmniej nie kwapili się wyprowadzać naród z błędnego o nim mniemania.

---

*) Tradycye i zasady swoje konserwatyści z 1830 r. przekazali swoim potomkom, dzisiejszym ugodowcom, których widzieliśmy u roboty podczas przyjazdu cara Mikołaja II do Warszawy i w sprawie denuncyacyi na biblioteki polskie Tow. Dobroczynności w Warszawie; podczas dyskusyi w parlamencie niemieckim nad powiększeniem marynarki niemieckiej i podczas rozmaitych spraw, rozstrzyganych w izbie poselskiej austryackiej na niekorzyść narodowości polskiej w Galicyi i na Śląsku.

Naród widział w Chłopickim zdolnego napoleońskiego jenerała, wysławianego w pamiętnikach marszałka Francyi Suchet'a. Wiedziano o nim, że był nielubianym przez Konstantego. Miano go więc za nieprzejednanego patryotę. Postawa okazała, rycerska, głos donośny, wzrok bystry, chwała wojen napoleońskich — wszystko znamionowało w Chłopickim bohatera, który naród do zwycięstw i chwały poprowadzi. Kiedy na placu broni, objechawszy szyki, ogłosił się dyktatorem i zapytał: czy lud i wojsko na to zezwala? — rozległ się po obszernym placu potężny okrzyk „niech żyje dyktator"! — a Chłopicki, odkrywszy głowę z uroczystem, uszanowaniem odpowiedział „niech żyje ojczyzna"! Muzyki wojskowe zabrzmiały hymnem narodowym. Zapał był niesłychany. Radość przepełniała serca. Koniec niesnaskom, koniec sporom domowym! Rząd energiczny z woli ludu i wojska powstały, a na czele jego zdolny jenerał, bohater napoleoński, towarzysz marszałków Francyi, przywykły do zwycięstw i tryumfów. Widziano go w wyobraźni, prowadzącego dzielne zastępy i rozwijającego narodowe sztandary, jeżeli nie pod Kremlem, to przynajmniej pod Pskowem i Smoleńskiem. Widziano braci wolnych za Bugiem i Niemnem i tego dnia pierwszy raz godła Litwy i Rusi zabłysły w teatrze. Powszechnie wierzono, że taki dyktator, jak Chłopicki, przeważy despotyczną potęgę caratu i koniec położy niedoli narodu.

„Umysły, mówi Mochnacki, były zaczarowane ideą absolutnej żołnierskiej władzy, która przypadła do ogólnego przekonania, która się natychmiast obróciła w wiarę polityczną całego narodu, której osłabić na razie nic nie zdołało — nic, nawet własne dyktatora zeznanie!" „Polska, wzbudzając w sobie zapał powszechny, trudny do opisania ku żołnierskiemu jednowładztwu, — Polska, ten lud okrzyczany w dziejach z miłości rozpasanej nawet swobody, cóż przez to okazywała? Pod każdym względem najwyższy rozsądek. Okazywała przez to, że sprawę swoją zna doskonale".

„Powstanie jest rzeczą broni. Wojna z mocarstwem absolutnem, którego rząd w poskromieniu tego powstania żadnych wewnętrznych przeszkód z natury swej doświadczać nie mógł, wojna z samodzierżcą Wszech Rosyi, nieograniczonego także z naszej strony rządu potrzebowała. Na fundamencie tej jednej zasady — gdyby była osoba dopisała władzy, a władza idei narodu, — mieliśmy w ręku naszem los moskiewskich carów. Polska przeniknęła tę tajemnicę swego odrodzenia, biorąc oręż przeciwko Moskwie, została zaraz, albo raczej chciała zostać na czas wojny krajem, jak Moskwa, co do władzy naczelnej despotycznym".

Naród, przyjmując dyktaturę czuł instyktownie, że czasowo zawiesić potrzeba najdrażliwsze spory wewnętrzne.

„Wtenczas dopiero, kiedy władza despotyczna, dana jednemu, nie chciała dopełnić swego obowiązku; kiedy wzięta i zalecana jako środek energii i pośpiechu mitrężyła czas daremnie i sama w siebie, w organizacyę swoją wszczepiła anarchię; kiedy przyjęta i potwierdzodzona przez ogół jako dzielny oręż zaczepny przedzierzgnęła się w hamulec powstania; kiedy usilnie zalecana jako środek uzbrojenia wcale

nie chciała uzbroić powstania, a działając z oporem, ze wstrętem w tej mierze, usiłowała mu nadać dążność Lubeckiego — wtenczas dopiero, ale dopiero wtenczas, po takim zawodzie, po tylu wykroczeniach naród polski stracił początkową swoją wielką wiarę we władzę absolutną jednego... i władzę insurekcyi już nie jednemu ale stu sześćdziesiąt i kilku posłom powierzył; czyli raczej sprawować im dozwolił".

Wpadnięto tedy z jednej ostateczności w drugą: władza przeszła od jedności do labiryntu wielowładztwa, od dyktatury do sejmu, w którym najdroższy czas tracono na nieskończone dyskusye i spory.

„W czem zawiniła osoba, to szczególnym obłędem przypisywano władzy; ponieważ dyktator nie odpowiedział oczekiwaniu narodu, naród więc, zamiast obrać innego dyktatora, zmierził sobie rząd żołnierski jednowładny, w wielogłowym słabym rządzie cywilnym znalazł upodobanie — i zginął".

Naród, przyjmując dyktaturę, chciał działać, nie rozprawiać. „Ale wola narodu została zgwałcona. Ten, któremu naród 5-go grudnia dawał władzę nieograniczoną, zamiast skorzystać z jednomyślności, zamiast użyć dla zbawienia Polski tej władzy, używał jej ze szkodą, dlatego, że jej wcale nie używał". Chłopicki bezczynny przez dni kilkanaście, pozostał wiernym zasadom, wygłoszonym w Radzie administracyjnej. Nie działał zaczepnie przeciw rozproszonym i osłabionym siłom moskiewskim, bo nie chciał, bo zamało cenił siły własnego narodu, bo zapał powszechny nie zdołał go poruszyć. Taki więc dyktator stał się najstosowniejszem narzędziem kontrrewolucyi. Kontrrewolucya gospodarowała też w jego otoczeniu i w biurach dyktatury z całą swobodą. Lubecki napełnił je swymi ludźmi. Reakcya podnosiła głosy bez obawy. Czterech braci Łubieńskich, należących do zwolenników Moskwy, opanowało kilkanaście najważniejszych urzędów w powstaniu. Członkowie policyi tajnej Konstantego chodzili wolno po Warszawie. Naczelnik tejże policyi Lubowidzki miał sobie zapewnioną i ułatwioną później przez Łubieńskich ucieczkę. Chłopicki w widokach układów z Petersburgiem nie chciał dopuścić do powiększenia siły zbrojnej regularnego wojska. Zezwolił tylko na formacye pozaliniowe, aby po udaniu się układów z carem i zabezpieczeniu swobód konstytucyjnych dla Królestwa, łatwiej powrócić do stanu, jaki istniał przed 29 listopada. Mając wstręt do wszelkich radykalnych zmian i reform, tak w wojsku jak i w administracyi cywilnej, pozostawił w wojsku na wyższych szczeblach hierarchii jenerałów konstantynowskich, znanych z braku patryotyzmu, czem osłabił dyscyplinę, gdyż podwładni niechętnie słuchali podobnych zwierzchników.

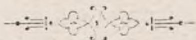
Trzymając się dalej swego systemu, Chłopicki wysłał do Petersburga z pismami dwóch posłów: Lubeckiego i Jezierskiego. Pierwszy, były oficer armii Suworowa, „ozdobiony" orderem Katarzyny za rzeź Pragi, jechał teraz w misyi do cara od dyktatora narodu Polskiego. W skutek misyi tej sam Lubecki nie wierzył. Korzystał jednak ze sposobności, aby wyjechać z Warszawy, gdzie z postępem rewolucyi mógł łatwo przypłacić gardłem za dawniejsze i świeże grzechy. Drugi, Jezierski, hrabia, któremu tytuł hrabiowski Moskwa nadała, sam się ofia-

rował na posła do cara; wystawił carowi, że powstanie 29-go było początkowo zgrają rozbójników, przeciwko którym spokojni obywatele się zbroili. Jezierski, wracając z Petersburga, głosił na każdej stacyi pocztowej, że moskale nas czapkami zarzucą, za co go chciano powiesić. „Czyżby kiedykolwiek Polska upadła, mówi Mochnacki, czyliżby ją rozebrali sąsiedzi, gdyby takich jak Jezierski poseł, nie miała obywateli?" *)

Nareszcie nadchodził czas sesyi sejmowej 18-go grudnia, kończący pierwszy okres dyktatury. W wilię 17-go wezwał Chłopicki deputacyę, złożoną z członków izby i senatu i zrobił jej ponowne wyznanie wiary politycznej. Okazało się, że nie odstąpił ani na krok od swego pierwotnego systemu: „Zapowiadam panom, w te odezwał się słowa, że żadnych innych nie mam zamiarów tylko utrzymanie w całości Królestwa. Przysiągłem Mikołajowi, jako królowi konstytucyjnemu, i przysiędze mojej wierny będę. Niechaj nikt nie myśli, że podejmuję się odzyskać Litwę i Ruś; przyrzekłem tylko zachować granice Królestwa, więcej nic. Zaręczam, że konstytucya będzie zachowana, i, że takie będzie miała gwarancye, że nie będzie mogła być gwałconą. Tego nawet dopnę, że żadne wojsko rosyjskie nie postanie w Królestwie; ale do niczego się więcej nie obowiązuję, nic więcej nie obiecuję."

Czyż nie było obowiązkiem tej deputacyi wyprowadzić naród z błędu względem człowieka, którego uważał za przyszłego zbawcę i któremu dla tego nieograniczoną władzę nad sobą powierzył? Czyż nie było jej obowiązkiem ostrzedz sejm? Deputacya, przeciwnie, postanowiła milczeć, bo wierzyła, że jeden tylko Chłopicki mocen jest zażegnać rewolucyę społeczną. Niektórzy mieli nadzieję, że dyktator raz zacząwszy wojnę, pobije moskali, a pod wpływem zwycięstwa zmieni swój system. Milczeli więc, i sejm w dniu 20 grudnia dyktaturę potwierdził; zaczął się drugi jej okres, czyli drugi okres kontrrewolucyi, w którym zasiane zostały zarody upadku powstania listopadowego.

Dr. H. G.



---

*) Potomkowie tego Jezierskiego żyli w przyjaźni z synami Hurki w Warszawie i wspólnie drużbowali podobnym sobie. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni".

JAK POWSTAŁ CZŁOWIEK?

Niedawno pisaliśmy w „Świetle“ o tem, jak powstało na ziemi życie roślin i zwierząt, jak powstał ten cały świat żywych istot o niewyczerpanej rozmaitości postaci, które zaludniają lasy, i stepy, i góry, i rzeki, i morza, powietrze, a poniekąd i ziemię. Jeszcze by się dużo, dużo dało o tem powiedzieć, jak to ogromnie się różnią i postacią, i sposobem życia jedne rośliny od innych, zwierzęta od zwierząt, naprzykład grzyb od sosny, dąb od dzwonka, paproć od lilii, albo znowu chrabąszcz od wróbla, ślimak od kota, szczupak od pająka, motyl od niedźwiedzia, robak od małpy — a jednak w tych wszystkich istotach, o całe niebo różniących się jedne od drugich, ujawnia się i ucieleśnia jedno i to samo *życie*; one wszystkie przychodzą na świat, spłodzone przez jakichś rodziców tego samego gatunku, potem rosną, dojrzewają, same rodzą potomstwo, a później umierają. Jedne umierają po kilku miesiącach, inne po kilku lub kilkunastu latach, znowu inne po kilkudziesięciu lub, jak dęby i sosny, po kilkuset latach. To znaczy, jednostka umiera, ale gatunek żyje, chociaż tysiące pokoleń umiera. Co lato niezliczone motyle umierają po krótkiem rozkosznem życiu, a jednak co wiosnę wiszą w krzakach nowe poczwarki i przemieniają się w nowych motyli; życie skowronka trwa tylko kilka lat, a jednak co wiosnę nowe skowronki w powietrzu śpiewają. Dużo, dużo by się o tem powiedzieć dało, jak każde zwierzę broni swojego życia, a jeśli jest mądrem, to i życia swoich, samicy swojej, młodych swoich, całego wreszcie stada — a jak jednocześnie każdy zwierz jest niemiłosiernym dla obcego życia, które mu za pokarm służyć może; jak w lesie panuje odwieczna wojna między wilkami a sarnami, w powietrzu między orłami a gołębiami, w wodzie między szczupakami a karpiami, ba, nawet w ziemi między kretami a robactwem. I o tem także, jak sprytniejsze między zwierzętami stale żyją w towarzystwie licznych zwierząt tego samego gatunku, pomagają sobie nawzajem i bronią się wspólnie przeciw drapieżnym wrogom; a są i takie, jak np. pszczoły i mrówki, a także liczne ptaki i liczne czworonożne, które budują sobie mieszkania bądź to w gałęziach, drzew bądź to w ziemi. I o tem także, że dziś już o niektórych zwierzętach napewno wiemy, że w ciągu kroci tysięcy lat powstały one z niektórych innych zwierząt, których dziś już na ziemi niema, ale po których pozostały skamieniałości. Ale my jesteśmy ludźmi, więc też bliżej, niż wszelkie życie roślinne i zwierzęce, obchodzi nas życie ludzkie. A chociaż to bardzo ciekawa rzecz, że np. chrząszcze, motyle, muchy, pszczoły i wszelkie inne owady pochodzą pierwotnie od robaków wodnych, to jednak o wiele bliżej nas obcho-

dzi i o wiele więcej nas niepokoi pytanie:- od kogo pochodzi i jak powstał człowiek?

Nie powstał on odrazu z rzeczy martwych, to pewna. Wszak tego nigdzie w przyrodzie nie widzimy, żeby z rzeczy martwej za jednym zamachem powstała istota żywa. Najzwyczajniejszy robak nigdy nie powstaje z błota lub gliny, tylko zawsze wylęga się z jajka, złożonego przez robaka tego samego rodzaju. A u roślin nieinaczej; najzwyklejszy chwast nie powstaje z gliny i piasku, chociaż na pierwszy rzut oka rzecz tak wygląda; w rzeczywistości, jeśli chwast wyrasta z ziemi, to tylko dlatego, że do tej ziemi wpadło nasienie, pochodzące od innego chwastu tego samego gatunku. To nasienie zaczęło kiełkować, i z niego powstała cała roślina. Słowem, gdziekolwiek na świecie widzimy jakąś żywą istotę, to zgóry możemy być pewni, że zrodziła się ona z innej żywej istoty, w wysokim stopniu podobnej do niej. Wprawdzie są ludzie, którzy wierzą, że z gnijącego mięsa powstają muchy, ale uczeni już dawno się przekonali, że to złudzenie, bo w rzeczywistości te muchy wylęgają się z jajek, które na tem mięsie złożyła stara mucha-samica. A i pleśń w rzeczywistości nie powstaje z chleba, lecz malutkie zarodki pleśni, które tylko pod mikroskopem można dostrzedz, unoszą się w powietrzu, osiadają na chlebie i kiełkują w nim, tak jak owe nasienie chwastu w ziemi zaoranej. A zatem nawet najniższy, najlichszy twór ziemi nigdy nie powstaje bezpośrednio z rzeczy martwej, tylko zawsze każda żywa istota powstaje z istoty żywej tego samego gatunku, pleśń powstaje z pleśni, roślina z rośliny, robak z robaka, ptak z ptaka, koń z konia. Przytem wprawdzie potomstwo niezawsze jest najzupełniej równe rodzicom, ale zawsze we wszystkich swoich zasadniczych cechach jest w wysokim stopniu do nich podobnem. A chociaż wiemy dokładnie, że gatunki są zmienne, o czem obszernie pisaliśmy w poprzednim Nr. „Światła“, to jednak wiemy także, że takie przemiany nie odbywają się zazwyczaj nagle, tylko bardzo stopniowo, niedostrzegalnie prawie. Chociaż naprzykład dowiedzionem jest, że ptaki pochodzą od jaszczurek, to jednak nie tak to należy rozumieć, że pewnego razu jaszczurka taka, jak wszystkie inne jaszczurki, nie posiadająca ani śladu piór, ani skrzydeł, złożyła jajka, z których ni stąd, ni zowąd zamiast młodych jaszczurek wylęgły się wróble, czy jaskółki; coś takiego nigdy na świecie się nie zdarzyło. Nie, powinniśmy sobie tę rzecz tak przedstawić, że pewne jaszczurki w ciągu wielu pokoleń z życia w trawie zaczęły przechodzić do życia w krzakach, później do życia w gałęziach drzew, a jeszcze później, zamiast biegać po gałęziach, zaczęły skakać, a nareszcie latać, przyczem ich przednie łapki coraz więcej się przystosowywały do swojej czynności, tak że w ciągu kilku tysięcy pokoleń, (przyczem każde pokolenie zawsze było bardzo podobne do swoich bezpośrednich rodziców, a tylko zlekka się od nich różniło) przednie łapki tych jaszczurek latających powoli się przekształciły, czyli rozwinęły się w skrzydła, a łuski na ich ciele przekształciły się w pióra. A jednak ów prastary ptak, którego skamieniałe kości odkryto w kopalniach litograficznego kamienia w Solenhofen, jeszcze posiadał zęby w dziobie, a u każdego skrzydła trzy

duże pazury; i z takich dopiero ptaków, posiadających jeszcze niektóre cechy jaszczurek, w ciągu dalszych milionów lat stopniowo rozwinęły się te ptaki, które dzisiaj znamy.

Jak więc powstał człowiek?

Nie mógł on powstać odrazu z rzeczy martwych: nie mógł także powstać za jednym zamachem z jakichś zwierząt bardzo od niego różnych, naprzykład z robaków, lub ryb, lub jaszczurek. Takich nagłych skoków niema w przyrodzie. Możemy więc przypuścić tylko, że człowiek rozwinął się z jakichś zwierząt już bardzo, bardzo do człowieka podobnych, a te znów stopniowo się rozwinęły z innych zwierząt bardzo do nich podobnych, ale nieco niżej stojących, te zaś z jeszcze niższych, i tak dalej. Jeżeli więc chcemy się dowiedzieć, jak powstał człowiek, to musimy sobie przedewszystkiem postawić takie pytanie: czy istnieją, lub czy istniały kiedyś na ziemi zwierzęta tak podobne do człowieka i budową ciała, i cechami umysłowemi, i sposobem życia, że można uwierzyć, iż człowiek od nich lub im podobnych zwierząt pochodzi?

Otóż rozpatrzmy nieco stanowisko, które człowiek zajmuje wśród świata żywych istot. Przypomnijmy sobie jeszcze raz, jak niezmiernie rozmaitym jest ten świat — jak niezmiernie rozmaitym i wtenczas nawet, kiedy wykluczymy z niego rośliny i zwrócimy uwagę naszą wyłącznie na zwierzęta. Nie będę dużo mówił o tem, że w samem morzu żyją krocie przeróżnych gatunków zwierząt, zarówno małych i malutkich, jak i dużych i olbrzymich, jednych głupich, innych sprytnych, jednych bezbronnych, innych drapieżnych, a wiele z pośród tych zwierząt morskich mają tak cudaczne kształty, że kto nie zna morza, a widzi je po raz pierwszy, ten nawet nie zgadnie, czy to zwierzęta, czy rośliny, czy może kamienie jakieś dziwne, czy Bóg wie co. To wszystko pomijam, bo to czytelnikom „Światła“ niewiele dopomoże. Chociaż bowiem pod Gdańskiem, koło ujścia Wisły, nad samem morzem mieszka polski szczep Kaszubów, a i w samym Gdańsku jest polaków niemało, to jednak ogromna większość polaków nigdy na własne oczy morza i jego cudów nie widziała. Wolę więc mówić o tem, co każdy polak zna od dzieciństwa: o tych zwierzętach, które w naszym kraju żyją w lasach, na łąkach, polach, a także i w powietrzu i w rzekach. I tutaj jeszcze rozmaitość jest ogromna. Mamy zwierzęta bez nóg, rąk, oczu, wyglądające poprostu jak długie cienkie wałki z jakiegoś miękkiego mięsa, jak glisty i inne robaki; mamy inne, również całkiem miękkie, u których oczy na końcach rożków siedzą, a do ciała których, niby przyrodzone mieszkanie, przyrośnięta jest twarda wapienna skorupa, o tak zgrabnych, regularnych kształtach, jakby przez tokarza zrobiona — ślimaki; są inne o sześciu nogach, które wewnątrz ciała żadnych kości nie mają, ale u których zewnętrzna skóra pokryta jest twardym rogiem, błyszczącym, o metalicznych kolorach — chrząszcze i inne owady. Są wreszcie i takie, które wewnątrz ciała posiadają kość pacierzową czyli kręgosłup, dalej czaszkę i inne kości, a przytem mają zazwyczaj dwoje oczu ruchomych, do ludzkich oczu podobnych, a i cała ich wewnętrzna budowa jest mniej lub więcej podobna

do wewnętrznej budowy człowieka — są to ryby, płazy, gady, ptaki, ssawce, jednem słowem kręgowce. Jeżeli więc poszukujemy wśród świata zwierzęcego krewnych człowieka, to zgóry możemy odrzucić myśl, jakoby człowiek miał pochodzić od ślimaków lub owadów, albo też bezpośrednio od robaków. Ślimaki i inne mięczaki, a także owady, pająki i raki zbyt się całą swoją budową zewnętrzną i wewnętrzną różnią od człowieka; one się oczywista rozwinęły w zupełnie innym kierunku; natomiast budowa robaków jest zbyt prostą, aby od istot im podobnych mogła bezpośrednio pochodzić istota o tak nadzwyczajnie złożonej budowie, jak człowiek. Natomiast im bliżej się przyglądamy kręgowcom, tem więcej się przekonamy o pokrewieństwie człowieka z nimi, a przy dokładnem zbadaniu sprawy w końcu przyznać musimy, że i człowiek jest kręgowcem. Bo przecież człowiek nie jest ani kamieniem ani rośliną, tylko żywą istotą zdolną do szybkich ruchów i przenoszącą się z własnej woli z miejsca na miejsce; a tego rodzaju istoty właśnie nazywamy zwierzętami; jeśli zaś człowiek jest zwierzęciem, to z konieczności nie możemy go zaliczyć ani do robaków, ani do ślimaków i muszli, ani do owadów, pająków i raków, tylko musimy go zaliczyć do tych zwierząt, które wewnątrz ciała mają kość pacierzową, dalej czaszkę, a wewnątrz czaszki i kręgosłupu mózg i rdzeń pacierzowy, a posiadają także dwoje połączonych z mózgiem, ruchomych oczu — słowem, do kręgowców.

Które zaś kręgowce są najbliżej z człowiekiem spokrewnione? Oczywista nie ryby, ani też żaby i inne płazy. Ani też jaszczurki, chociaż swoimi zwinnymi ruchami, swojemi czteroma zgrabnemi łapkami podobnemi do rączek, swojemi żywemi oczkami już prędzej przypominają człowieka. Ani też ptaki; wprawdzie mają one ciepłą krew, jak człowiek, wprawdzie budują sobie gniazda, jak człowiek buduje sobie chatę, wprawdzie nieraz para ptaków żyje z sobą wiernie i zgodnie aż do śmierci i wychowuje swe młode, jak wzorowe jakieś małżeństwo ludzkie; wprawdzie bardzo często całe gromady ptaków wspólnie szukają pokarmu, wspólnie się bronią od wrogów, słowem, zachowują się solidarnie zupełnie, jak gromady ludzkie — ale ptaki kładą jajka, maią skrzydła i latają w powietrzu, a w dziobie nie mają zębów; pod niektórymi względami zatem różnią się od człowieka nawet więcej niż jaszczurki i inne gady, które mają cztery łapy o pięciu pazurach, biegają po ziemi i mają zęby w paszczy. Natomiast już stanowczo bliżej człowieka stoją te czworonożne zwierzęta, które mają ciepłą krew, włosy na ciele, zęby w ustach, a rodzą żywe młode i karmią je mlekiem — słowem, ssawce. A ponieważ i człowiek jest kręgowcem ciepłokrwistym o czterech kończynach, ma włosy, ma zęby, rodzi żywe dzieci i karmi je mlekiem, więc można śmiało powiedzieć, że i człowiek jest ssawcem.

Ale i ssawce jeszcze bardzo są między sobą różne. I krety i jeże, i myszy i zające i wiewiórki, i kozy, owce, woły, sarny, jelenie, konie, i koty i psy i wilki i niedźwiedzie — wszak to wszystko ssawce. Ale one wszystkie rozwinęły się w innym kierunku, niż człowiek. U koni np. pazury przemieniły się w kopyta, z tych kopyt

się już tylko jedno zostało, tak że końska noga straciła wszelkie podobieństwo do ludzkiej ręki o pięciu palcach. I nietylko na pierwszy rzut oka wydaje się to bardzo nieprawdopodobne, żeby człowiek miał pochodzić od któregoś z powyżej wyliczonych ssawców, ale przy ściślejszem badaniu wewnętrznej ich budowy to nieprawdopodobieństwo jeszcze wzrasta. Gdybyśmy natomiast gdzieś na świecie znaleźli ssawce, których przednie łapy byłyby tak samo zbudowane jak ludzkie ręce, i służyłyby do tego samego użytku; gdyby głowa tych ssawców z przodu widziana, okazywała uderzające podobieństwo do ludzkiej twarzy; gdyby samice tych ssawców miały dwoje piersi, które by po porodzie nabrzmiewały mlekiem i stawały się podobne do piersi ludzkiej kobiety; gdyby te samice, zupełnie jak ludzkie matki, zawsze tylko jedno młode naraz u piersi karmiły; gdyby w ustach tych ssawców znajdowały się właśnie takie zęby, i właśnie w takim porządku, jak u człowieka: gdyby u niektórych z tych ssawców, samce nosiły dużą brodę; gdyby u innych z tych ssawców, ogona wcale nie było; gdyby z tych ostatnich niektóre były prawie tej samej wielkości, co człowiek, a te właśnie miałyby zwyczaj wyprostowywać się czazem i chodzić na tylnych łapach, prawie jak człowiek; gdyby przytem badanie ich wewnętrznej budowy okazało, że pod tym względem niema żadnej zasadniczej różnicy między nimi a człowiekiem, tylko, że mózg człowieka jest znacznie większym i lepiej rozwiniętym; gdyby się przytem pokazało, że rodzinne i gromadne życie tych ssawców jest nadzwyczaj podobnem do rodzinnego i gromadnego życia ludzkiego, a wszelkie objawy ich uczuć i namiętności nadzwyczaj podobnymi są do objawów uczuć i namiętności ludzi, a szczególnie dzieci ludzkich — wtenczas chybaby się sama przez się nasunęła myśl, że te zwierzęta to chyba już najbliżsi krewni człowieka, i że od takich zwierząt lub im podobnych sam człowiek pochodzi. Otóż takie zwierzęta istnieją; znamy ich aż kilkaset różnych gatunków, najmniejsze zaledwie większe od wiewiórek, a największy gatunek nawet nieco większy od człowieka. U nas w Polsce ich niema; żyją one w lasach krajów gorących. Te zwierzęta, to — małpy.

Przywykliśmy do tego, aby z wyrazem „małpa“ łączyć pojęcie czegoś nader wstrętnego, brzydkiego i śmiesznego. A przyzwyczajenie to stąd pochodzi, że małpy całym swoim wyglądem już tak żywo przypominają człowieka, że mimowoli patrzymy się na małpę, jakby na człowieka, i tego rzekomego człowieka porównujemy z innymi ludźmi; a takie porównanie naturalnie bardzo na niekorzyść małpy wypada. Ale to nie wyklucza, że pomiędzy wszystkiemi zwierzętami właśnie małpy najbliżej człowieka stoją. A jeszcze te małe małpeczki, jakie u nas czasem po ulicach pokazują wędrowni grajkowie, wcale nie są tak bardzo podobne do człowieka, jak niektóre inne, duże małpy, które tylko rzadko kiedy bywają zawożone do Europy, a przebywając w Europie w niewoli, zazwyczaj szybko umierają na suchoty, bo im tu za zimno. Takich szczególnie do człowieka podobnych małp są cztery rodzaje: goryl, żyjący na zachodzie środkowej Afryki, w górach kameruńskich, dziś zagrabionych przez niemców; dalej różne gatunki

szympansów w Afryce środkowej oraz w gorącej części Afryki południowej; dalej orangutang w Indyach wschodnich, na wyspach Sumatra i Borneo oraz na półwyspie Malajskim, a więc w krajach, gdzie panują po części holendrzy, po części anglicy, po części zaś niezależne szczepy krajowców; wreszcie liczne gatunki gibbonów w górskich lasach Indyi wschodnich. Z nich wszystkich największym jest goryl, bo nawet nieco większym od człowieka, ma czarną skórę pokrytą rudawo-brunatną sierścią, ale twarz i ręce nagie. Stosunkowo najpodobniejsze do ludzi są młode, malutkie jeszcze goryle; u dorosłych gorylów, a szczególnie u dorosłych samców szczęki i zęby stają się tak potężne w porównaniu do małej płytkiej czaszki mózgowej, że głowa staje się straszliwie brzydką. Przytem jednak goryle prowadzą bardzo spokojne życie; uwijają się w gęsto rozgałęzionych koronach drzew leśnych, zrywają różne owoce, mniej więcej do jabłek i orzechów podobne, i zjadają je. Na to orzechobranie goryl samiec co dzień chodzi wraz ze swoją samicą i młodemi; gdy zaś noc zapada, goryl samiec gdzieś wysoko w gałęziach drzew, gęsto obok siebie stojących, z suchych gałązek i liści (w owych strefach niektóre drzewa mają liście, tak duże jak prześcieradło) układa łoże bezpieczne i wygodne dla samicy i młodych, sam zaś u stóp drzewa siada na ziemi i tak przebywa noc, aby w chwili, gdyby pantera jakaś lub inny dziki zwierz chciał napaść na samicę i młode, mógł obronić swoją rodzinę. Niżej ku dolinom, blizko siedzib ludzi, goryle zjawiają się tylko wtedy, gdy w górach mało orzechów dojrzało, na widok ludzi uciekają; wreszcie zaś gdy ludzie osaczą je tak, że już nie mogą uciec, wtenczas dopiero goryl używa swojej straszliwej siły. Jest on w stanie wyrwać myśliwcy karabin i zębami połamać. Szympanse są nieco mniejsze, mają dość jasną skórę, ale czarną sierść; życie prowadzą mniej więcej takie same, jak goryle. Orangutang ma sierść rudawą i wązką twarz o ogromnej gębie, jest również bardzo silnym, ale łagodnym, tak że żaden inny zwierz leśny nie ma odwagi zaczepiać go, ale i on nikogo nie zaczepia. Wyróżnia się tem, że samiec tylko krótki czas żyje razem z samicą, a potem opuszcza ją i prowadzi starokawalerskie życie na wierzchołkach drzew, co rano idzie sam na owocobranie, potem siedzi godzinami nieruchomy i niby zadumany, a wieczorem dla siebie samego łoże ściele. Za to samica pielęgnuje młode i co rano myje je u strumyka, przyczem niesforne malce straszny krzyk wszczynają; jednak kochają matkę, a zabrane w niewolę, strasznie za nią tęsknią. Co do gibbonów, to są one o wiele mniejsze, zaledwie tak duże jak dziesięcio lub dwunasto-letnie dziecko, a jednak ze wszystkich mają czaszkę i twarz najwięcej ludzką. Żyją gromadnie, ze czterdzieści lub pięćdziesiąt małp razem; ich zręczność w skakaniu po drzewach jest tak nadzwyczajną, że możnaby ich już nazwać małpami latającemi. Przeskakując przestrzeń kilku metrów, w samem powietrzu potrafią zmienić kierunek skoku. Jednakże, jak tylko znajdują się na poziomym gruncie, stają na tylnych nogach w dość wyprostowanej postawie i chodzą podobnie jak człowiek.

Są to więc istotnie już dość bliscy krewni człowieka. Na to, aby sobie przedstawić, że z istot tego rodzaju przez stopniowy, powolny rozwój powstał człowiek, nie trzeba już zbyt bujnej wyobraźni Jednakże w takim razie musimy przypuścić, że pomiędzy gibbonami, lub ich przodkami, a człowiekiem istniał w dawnych czasach cały szereg odmian pośrednich i możemy się spodziewać, że pierwej czy później gdzieś odnajdziemy skamieniałe kości tych odmian pośrednich. Otóż istotnie kilka lat temu na wyspie Jawie, gdzie do dziś dnia w lasach górskich żyją gibbony, lekarz holenderski dr. Dubois (czytaj Dyboa) po długich poszukiwaniach znalazł skamieniałe kości istoty, której czaszka okazuje wszelkie cechy czaszki jakiegoś bardzo dużego gibbona o szczególnie dużym mózgu, a jednak nogi tejże istoty były tak zbudowane jak nogi ludzkie, przystosowane do ciągłego chodzenia po poziomym gruncie. Gdyby taka istota dzisiaj żyła, to by prawdopodobnie nam wszystkim bardzo trudno było rozstrzygnąć, czy ją mamy zaliczyć do małp, czy też do ludzi. A dlaczego dzisiaj już takich istot niema? Najprawdopodobniejsza odpowiedź jest ta: bo ich potomkowie stali się ludźmi!

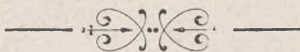
Ale dlaczego się to stało?

Tego dotąd jeszcze nie wiemy, możemy o tem wypowiedzieć tylko mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenia, ale musimy się liczyć z możliwością, że dalsze poszukiwania mogą te przypuszczenia częściowo obalić Możemy np. tak powiedzieć: W owych górskich lasach niezawsze gibbonom było dobrze i wygodnie; czasami owoce źle obrodziły, czasami też rozmnażały się tygrysy i inne drapieżne zwierzęta. Takie nieszczęścia zniewalały niektóre gibbony do opuszczania lasówi do zamieszkania w okolicach bezleśnych. Tam zaś z konieczności trzeba się było przyzwyczaić do chodzenia po poziomym gruncie, przez co się cała budowa ciała zmieniła, postać się wyprostowała, ręce tylne stały się tęższe i przyjęły budowę ludzkich nóg, a przednie ręce, ponieważ już nie służyły do nieustannego chwytania się gałęzi i skakania, próżnowały wbrew naturze swojej, więc czuły ciągłą potrzebę brania czegoś w palce, łamania, tłuczenia czegoś, obrabiania czegoś. A ta chęć brania czegoś do rąk stała się bardzo przydatną; bo na otwartem polu utrudnionem było poszukiwanie pokarmu, utrudnioną była także obrona od zwierząt drapieżnych. Kamienie brane do ręki z prostej ciekawości, dla zabawy, w chwilach niebezpieczeństwa stały się bronią i narzędziem. Ot jak powstało zwierzę władające bronią i narzędziami — człowiek. A gdy się stał przez użytek narzędzi poniekąd mniej zależnym od klimatu i otoczenia, człowiek mógł już zaludniać coraz zimniejsze kraje, lasy północne, stepy i puszcze. Gdy nie było owoców, polował na zwierzynę i karmił się jej mięsem; kiedy marzł, z zabitej zwierzyny ściągał skórę i odziewał się w nią. A wiemy, że później nastała tak zwana epoka lodowa — czas, kiedy w dzisiejszych umiarkowanych strefach Europy klimat stawał się coraz zimniejszym, aż nareszcie stał się takim, jakim dzisiaj jest zaledwie w najgorszych okolicach Sybiru. Wtenczas walka o byt dla człowieka stała się coraz ostrzejsza; uratować go

mogło tylko coraz sprytniejsze używanie narzędzi, a zarazem coraz inteligentniejsze i zgodniejsze współdziałanie członków jednego szczepu — słowem, coraz wyższa kultura. Bardzo być może, że wtenczas większość ludzi pierwotnych wyginęła, a przy życiu pozostały tylko nieliczne zastępy najzręczniejszych, najrozumniejszych i najspołeczniejszych; bardzo być może, wtenczas dopiero człowiek na dobre stał się tem zwierzęciem kulturalnem i społecznem, którem dzisiaj jest. A rozwinąwszy się do tego stopnia, odtąd wciąż rozwija się dalej.

A co z tego wynika? Przedewszystkiem to, że niema różnicy między ludźmi pochodzenia „szlachetnego“ a „nieszlachetnego“, my wszyscy jesteśmy szlachetni, bo jesteśmy ludźmi. Nam wszystkim wrodzonym jest ów instynkt pracy, który niegdyś naszych dalekich, dalekich przodków nauczył używania narzędzi; my wszyscy pochodzimy od przodków, niżej stojących od nas; w nas wszystkich żyje zdolność do rozwoju, dzięki której ludzkość już tak wysoko stanęła, a stanie jeszcze wyżej. My wszyscy powołani jesteśmy do kultury i życia społecznego; my wszyscy powinniśmy pamiętać o tem, że ludzkość jest jedną i powinna działać wspólnie. A jeśli czasami walczymy przeciwko niektórym ludziom, naszym bliźnim, to dlatego tylko, że ci ludzie nie uznają braterstwa wszystkich ludzi, stoją na przeszkodzie zespoleniu całej ludzkości w jedno społeczeństwo. Bierzemy udział w walce klas, ale w walce tej walczymy właśnie o to, aby w przyszłości wszyscy byli wolni i mieli równą możność rozwoju.

Krakowiak.



SOCYALIZM W NORWEGII.

Norwegia, kraj leżący na zachód od Szwecyi i połączony z nią unią osobistą (tj. osobą króla), liczy zaledwie 2 miliony mieszkańców.

Ludność Norwegii z odwiecznych czasów korzystała ze swobody i niezależności. Norweska literatura w średnich wiekach, starożytne pieśni i legendy islandzkie wykazują, jak wysoko stała cywilizacya tego kraju. W ten sposób przed początkiem reformacyi luterańskiej, w pierwszej połowie XVI wieku Norwegia należała do najbardziej postępowych krajów Europy. Ale reformacya źle wpłynęła na rozwój Norwegii i pozbawiła ją dawnych szkół, ozdobnych i bogatych kościołów, nauczycieli, którymi dawniej byli księża katoliccy; jednem słowem, odebrała krajowi temu jego odwieczną kulturę narodową, a nie dała natomiast niczego. Dopiero w XIX wieku, dzięki nowym urządzeniom demokratycznym, dzięki szkołom ludowym i wyższemu wykształceniu, Norwegia powróciła do szeregu krajów oświeconych

Po czterechset posępnych latach ujarzmienia przez Danię, w 1814 roku wybiła nareszcie godzina wyzwolenia Norwegii. Związek z Danią został zerwany, a Norwegia odzyskała możność samodzielnego rozwijania swych narodowych urządzeń i właściwości. Aczkolwiek i dziś Norwegia ma króla wspólnego ze Szwecyą, to jednak rząd jej jest czysto republikański: król Szwecyi jest dla Norwegii tylko prezydentem.

W XIX wieku rozpoczęło się narodowe odrodzenie Norwegii. Zjawili się pisarze, głośni w całym świecie: Henryk Ibsen, Björnson, Kielland, Jonasz Lie i Garborg; matematycy, dziejopisarze, prawnicy, muzycy, artyści itd. Zbiory etnograficzne, muzea, uniwersytet i teatry, jednem słowem, całe życie umysłowe kraju rozpoczyna się na nowo w XIX wieku.

Okres wielkiego odrodzenia narodowego wywarł potężny wpływ na umysły starszego pokolenia; nic więc dziwnego, że i życie polityczne szło wyłącznie torami wyzwolenia narodowego. Walka ze Szwecyą o samodzielność pochłaniała wszystkie siły polityków norweskich i łączyła ich w jeden obóz, nie pozwalając na tworzenie się odrębnych stronnictw politycznych.

Na początku XIX wieku kaznodzieja religijny Hans Hauge wskazywał na dogodność rzek i wodospadów norweskich dla urządzenia przy nich różnych zakładów przemysłowych. W tych nowych fabrykach i warsztatach — zdaniem Hauge'go — powinno było zapanować królestwo miłości, i stosunki między fabrykantami a robotnikami powinny były opierać się na wzajemnem poszanowaniu. Hauge odznaczał się wielkim zmysłem praktycznym i stał się dla Norwegii prawie tem samem, czem był Robert Owen dla Anglii. Zaczął od urządzenia kilku komunistycznych gmin chłopskich i rybackich. Następnie nabył dwa okręty, naładował je różnymi towarami i zaczął te towary zamieniać na wytwory założonych przez siebie gmin. Zamiast pieniędzy używano w tych stosunkach kwitów papierowych. Korzyści takiego handlu były bardzo znaczne, a Hauge wkrótce ściągnął na siebie nienawiść kupców. W skutek nalegań jego wrogów, Hauge'go aresztowano i zamknięto do więzienia, gdzie go trzymano przez 7 lat. To zadało śmiertelny cios sprawie, rozpoczętej przez niego, ale imię Hauge'go żyje po stu latach dziś jeszcze. „Haugenistami" do dziś nazywają się liczni sekciarze norwescy, upatrujący ideał życia w komunistycznych urządzeniach pierwotnych chrześcian. Hauge umarł w 1824 roku.

Poeta Henryk Wergeland ze swą gazetą: „Do klas pracujących" zrobił dużo dobrego dla moralnego i estetycznego rozwoju robotników. Ale w gazecie tej, która korzystała z pomocy pieniężnej króla Karola XIV, zbyt często widać było oddziaływanie zdań i poglądów klas uprzywilejowanych. Działalność Wergelanda należy do okresu 1830 do 1845 roku. Trzeba było dopiero ożywczego powiewu wielkiej burzy rewolucyjnej, która w 1848 r. przeleciała nad całą Europą, by wreszcie zbudzić norweską klasę robotniczą do świadomego życia.

Okres ten w pamięci socyalistów norweskich nazawsze będzie związany z imieniem sławnego działacza Marka Tranego. Bojowe hasło rewolucyjno-socyalistyczne Marka Tranego rozbudziło masy pra-

cujące. Robotnicy w miastach i po wsiach zaczęli się jednoczyć i w latach 1848 do 1850 zorganizowały się 273 związki robotnicze, liczące 50 tysięcy członków. M. Trane prowadził w tym czasie rozległą agitacyę, objeżdżał kraj, wydawał dla związków robotniczych gazetę, która rozpowszechniała się w mnóstwie egzemplarzy. Trane, będąc studentem, przez długi czas mieszkał w Niemczech i we Francyi, gdzie przejął się poglądami socyalistycznymi. Ani pochodzenie z jednej z najznakomitszych familii norweskich, ani pokrewieństwo z najwyższymi oficerami armii nie uchroniły Tranego od prześladowań burżuazyi, wystraszonej nie na żarty. Oskarżono go o „przygotowywanie rewolucyi" i w 1851 roku uwięziono. Reakcya zgniotła powstania robotnicze, które się rozpoczęły w różnych miejscach kraju. Po wyjściu z więzienia w 1858 roku Trane nie znalazł już gruntu dla dalszego prowadzenia swej pracy i w 1863 r. wyemigrował do Ameryki. Tam w Chicago wydawał on norweską gazetę socyalistyczną, która miała dość licznych abonentów w zachodnich stanach, i umarł w stanie Wisconsin w 1890 roku.

Ze współpracowników Tranego żyje dotąd stary robotnik Bernard Hansen, który także długo siedział w więzieniu. Hansen nie jest już w stanie pracować i otrzymuje honorową emeryturę od norweskiej partyi socyalistycznej, która tak wiele zawdzięcza ruchowi, kierowanemu przez Marka Tranego.

W porównaniu z czysto-socyalistycznym ruchem Tranego, działalność Eylerta Sunda była krokiem wstecz. Do związków robotniczych Sunda należeli także przedstawiciele innych klas społeczeństwa, a robotnikom głoszono w nich wyszarzane hasła „pracowitości i oszczędności". Sam Eylert Sund zbliżał się raczej do Wergelanda, niż do Tranego. Założone przez Sunda związki robotnicze istnieją do dziś, ale w skutek różnic w składzie ich członków rozwój poszczególnych związków był rozmaity, i jedne z nich wywiesiły sztandar socyalistyczny, inne doszły do najkrańcowszego wstecznictwa.

Bardziej bezpośrednią następczynią ruchu Tranego była partya radykalna, która działała między 1882 a 1898 rokiem.

Płodną w owoce działalnością partyi radykalnej kierował adwokat — późniejszy prezes ministrów — Jan Sverdrup. W pierwszej połowie swej działalności Sverdrup był prawdziwym demokratą, ale w ostatnich latach można było u niego spostrzedz pewne zboczenia na prawo. Imię jego następcy Jana Steena musi być także zaszczytnie wspominanem w historyi demokracyi norweskiej.

Radykalna partya włączyła do swego programu wszystkie czysto polityczne żądania Marka Tranego. Radykali zdobyli większość w parlamencie norweskim i dokonali wielu reform demokratycznych. Prócz nowego urządzenia szkół, zaprowadzenia sądu przysięgłych, szeregu reform administracyjnych, jako największa zasługa partyi radykalnej pozostanie nazawsze zaprowadzenie między 1888 a 1901 rokiem prawa wyborczego powszechnego dla mężczyzn i prawa wyborczego przy wyborach do rad miejskich dla kobiet.

Ale w ciągu całego tego czasu żądania czysto ekonomiczne pozostawały na boku, a w ostatnich czasach zaczęły ujawniać się oznaki rozkładu w partyi radykalnej.

W takich warunkach powstawała i rozwijała się Socyalistyczna Partya Robotnicza. W 1885 roku wytworzyły się pierwsze organizacye socyalistyczne w Chrystyanii i Bergen. Drukarz Krystyan Knudsen, doktor Oskar Nissen, adwokat Meyer, szczotkarz Jeppesen i mechanik Gjösten stanęli na czele ruchu. Partyę Robotniczą założono na kongresie w mieście Arendal w 1887 roku i od tego czasu wzrost jej postępuje nieustannie.

Przy wyborach do parlamentu w 1894 roku robotnicy po raz pierwszy ułożyli samodzielnie własne listy kandydatów i zyskali 537 głosów socyalistycznych, co wobec ówczesnych ograniczeń prawa wyborczego bynajmniej nie wyrażało rzeczywistych sił partyi. Przy wyborach do rady miejskiej w tym samym roku było 900 głosów socyalistycznych. W 1898 roku było głosów socyalistycznych przy wyborach do parlamentu 1000, a przy wyborach do rad miejskich — 1765.

W tym właśnie czasie zaprowadzono powszechne głosowanie, a skutki tej reformy bardzo szybko dały się odczuć. Przy wyborach do parlamentu w 1900 roku liczba głosów socyalistycznych wzrosła do 7000; a wreszcie przy ostatnich wyborach do rad miejskich w jesieni 1901 roku, przy których głosowały i kobiety, socyaliści zyskali około 25 tysięcy głosów i wprowadzili do różnych zarządów miejskich 147 własnych przedstawicieli. Partya socyalistyczna w Norwegii opiera się na silnym ruchu zawodowym. Następująca tabela wykazuje wzrost związków robotniczych, które należą do partyi:

Rok	Ilość związków	Ilość członków
1898	105	9.810
1899	114	10.655
1900	150	10.924
1901	211	12.000

Socyaliści norwescy wydają trzy gazety codzienne: w Chrystyanii — „Socyalny Demokrata“ (8 000 abonentów), w Bergen — „Praca“ (2.000 abonentów) i w Drontheim — „Nowy Czas“ (1.500 abonentów). W kraju podbiegunowym na krańcowej północy w miasteczku Karlsö ksiądz Eriksen wydaje 3 razy na tydzień gazetę socyalistyczną: „Zorza Północna“. W Stavanger wychodzi tygodnik: „1 maja“, wreszcie związek socyalistycznej młodzieży w Chrystyanii wydaje miesięcznik: „Wiek XX“.

Do ostatnich czasów Norwegia nie była krajem wielkiego przemysłu. Stolica tego kraju — Chrystyania — ma 23.000 mieszkańców, Bergen — 10.000, Drontheim i Stavanger po 40.000. Najlepiej uprawna część kraju daje dobre urodzaje kartofli, owsa i żyta; z owoców dojrzewają należycie: jabłka, gruszki, śliwki, a nawet winogrona. W czerwcu pagórki Norwegii czerwienieją od poziomek a w lasach nie brak zwierzyny. Ludność zajmuje się głównie rybactwem i przemysłem leśnym. Klimat kraju jest zdrowy, mieszkańcy — dobrze zbu-

dowani i weseli. Ale kapitalizm dociera i do tego błogosławionego kraju, a jednocześnie robotnik budzi się do nowego życia. W roku 1902 wzrost socyalizmu był znaczniejszy, niż dawniej. Związki zakładają się we wszystkich zakątkach kraju, a agitacya socyalistyczna dociera wszędzie.

Olaf Kringen.



Międzynarodowa Szkoła Ekonomii Społecznej.

Szkoła pod powyższą nazwą założoną została w październiku 1901 r. przez tow. W. A. Millsa. Istnieje ona w mieście San Francisco w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki i ma za zadanie wyrabianie agitatorów socyalistycznych. Kurs trwa zwykle kwartał, i już na pierwszy kwartał zapisało się 35 uczniów, podczas gdy obecnie liczba ta dochodzi 200. Przy szkole istnieje komitet, składający się z wielu wybitnych socyalistów, który uczniów egzaminuje i nawet wydaje im odpowiednie dyplomy.

Sam założyciel, tow. W. A. Mills, coprawda dopiero od 3 lat właściwie należy do partyi, ale jako działacz polityczny nabrał wprawy poprzednio w szeregach partyi demokratycznej, gdzie przez dłuższy czas — chociaż bezskutecznie — usiłował działać dla dobra sprawy robotniczej. Że nauka, zorganizowana przez niego, daje dobre rezultaty, tego najlepszym dowodem są stanowiska, zajmowane przez uczniów jego. Ze słuchaczy tylko pierwszego kwartału 8 są organizatorami partyjnymi, jedna jest redaktorką, a 2 są pomocniczymi nauczycielami w tej samej szkole.

Oprócz regularnych wykładów w samej szkole prowadzone jest także nauczanie za pomocą korespondencyi listownej, i z takiej korespondencyi korzysta już dziś prawie 1500 uczniów zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak w Kanadzie, Indyach, Nowej Zelandyi i Meksyku. Latem 1902 r. tow. W. A. Mills objeżdżał na zaproszenie sekcyi Socyalistycznej Partyi amerykańskiej różne miasta i tam urządzał kursy agitatorskie, trwające w każdem mieście tylko tydzień, przytem wieczorami, gdy więcej robotników ma czas, wykładał zasady socyalizmu, a w dzień miał wykłady: „Jak należy praktycznie pracować dla socyalizmu".

Z nauczania tego mogą korzystać naturalnie towarzysze obojga płci, ale tylko tacy, którzy ważniejsze zasady socyalizmu dobrze już poznali. W samych wykładach bowiem — zarówno w szkole jak i w korespondencyi — idzie tylko o nauczenie, jak zbijać argumenty

przeciwników socyalizmu i na jakie fakty zwracać główną uwagę przy propagandzie. Jest to — jak już powiedzieliśmy — wyrabianie agitatorów. Swoją zaś drogą tow. W. A. Mills projektuje urządzenie wykładów socyalizmu nawet dla dzieci.

Warto zaznaczyć, że szkoła ta nie kosztowała partyę ani grosza. Na założenie jej zaciągnięto prywatną pożyczkę, ale i pożyczka ta już jest prawie zwrócona i wszystkie koszty całkowicie pokryte z opłat uczniów i uczennic, korzystających z wykładów czy to ustnych czy też listownych.

B.



DOCHODY MORGANA.

Jak wiadomo, najwybitniejszym działaczem w dzisiejszych „trustach" amerykańskich, tj. w stowarzyszeniach kapitalistów, założonych dla obdzierania publiczności i wyzyskiwania robotników, jest Pierpont Morgan.

Ciekawą więc jest tabela jego dochodów, podana przez jedną z burżuazyjnych gazet nowo-yorskich. W jednym tylko 1902 r. miał on dochodu:

Z trustu stalowego	20.340.000	dolarów
„ „ okrętowego	2.500.000	„
„ firmy Northern Securities	4.500.000	„
„ „ Harvesters Merger	5.500.000	„
„ kolei Louisville-Nashville	6.000.000	„
„ firmy Realty Company	3.000.000	„
Razem .	41.840.000	dolarów

czyli prawie 84 milionów rubli.



SPIS RZECZY.

